# Januszajtis, jakiego nie znacie

Dorota Karaś
14.09.2013

Andrzej Januszajtis (Fot. Rafał Malko / Agencja Gazeta)

Młodego fizyka denerwują różnice zdań znawców na temat wielkości gdańskiego kościoła Mariackiego. Idzie do biblioteki i sam zaczyna obliczać powierzchnię największych świątyń na świecie

Po mieście krąży anegdota. "O Gdańsku w niebie najwięcej wie pan Bóg, a na ziemi - Andrzej Januszajtis" - rzucił kiedyś ksiądz infułat Stanisław Bogdanowicz, dawny proboszcz bazyliki Mariackiej. Elżbieta Wiesztord, dyrygentka, dodała: "Ale nawet pan Bóg może mieć w tej materii pewne luki". Andrzej Januszajtis, 85 lat, docent fizyki. Napisał kilkanaście książek poświęconych historii Gdańska, właśnie kończy kolejną. Jego domowy telefon zna na pamięć wielu gdańskich dziennikarzy. Do Januszajtisa można zadzwonić w każdej sprawie związanej z historią miasta. Zawsze pomaga. Chętnie zabiera głos w dyskusjach dotyczących architektury, nie boi się krytykować poczynań urzędników. Rzadziej mówi o sobie. Pytany o najradośniejszy moment w życiu, opowiada o grudniowym dniu w 1983 r. Udało się wtedy odnaleźć większość fasady zegara astronomicznego z kościoła Mariackiego.

**Ojropa**

Rok 1944. Andrzej Januszajtis, uczeń gimnazjum w Lublinie, wybiera jako pierwszy język obcy niemiecki. Trwa II wojna światowa, niemiecki kojarzy się w tym czasie z okupantem. Nauczyciel uczy pisma gotyckiego, które w Niemczech wyszło już z użycia. Dzięki tym lekcjom Januszajtis w przyszłości będzie mógł studiować historyczne dokumenty, w których użyto tego alfabetu.
Oprócz niemieckiego uczy się również angielskiego, łaciny i rosyjskiego.

- Dziadek Michał mówił "Jewropa", a babcia Cecylia "Ojropa", to mnie bawiło, a jednocześnie wzbudziło zainteresowanie językami obcymi - wspomina.

Urodził się w Lidzie 11 lat przed wybuchem II wojny światowej, wychował w rodzinie o niepodległościowych tradycjach. Ojciec i jego dwóch braci służyło w Legionach Piłsudskiego. Stryj - Marian Januszajtis "Żegota" - miał stopień generała dywizji. Przygotował zamach stanu, który w 1919 r. obalił rząd Jędrzeja Moraczewskiego.

- Po przewrocie majowym, do którego stryj nie chciał się przyłączyć, powołując się na przysięgę złożoną prezydentowi Wojciechowskiemu, traktowany był jak opozycjonista - mówi Andrzej Januszajtis. - Został wysłany na Kresy, byli tam potrzebni ludzie do utrwalania polskości. To najprawdopodobniej stryj, który został wojewodą nowogródzkim, ściągnął do Lidy mojego ojca.

**Gryps**

Marzec 1941. Interesy, którymi zajął się w Lidzie Wiesław Januszajtis, ojciec Andrzeja, nie powiodły się. Dawny legionista przez kilka lat prowadził hurtownię tytoniu z żydowskim wspólnikiem, ale ta zbankrutowała. Rodzina przeprowadza się do Lublina, gdzie mieszkają dziadkowie Andrzeja, a na rok przed wojną - do Łodzi. W 1939 r. rodzina musi opuścić Łódź i wraca do Lublina. Wiesław znajduje pracę - jeździ po okolicznych wsiach i zamawia zwierzęta rzeźne. Pewnego dnia nie wraca z pracy do domu.

- Od jego kolegów z pracy dowiedzieliśmy się, że został aresztowany przez gestapo - mówi Andrzej Januszajtis. - Gdy go wywozili z Lublina, zdołał wyrzucić gryps. Napisał w nim, że nie wie, dokąd jedzie. Trafił do Auschwitz jednym z pierwszych transportów. Miał numer 19 288. Później przychodziły już tylko obozowe kartki z niemiecką formułką: "Jestem zdrów, czuję się dobrze". W grudniu moja mama po raz ostatni wysłała do Auschwitz pieniądze dla ojca. Przesyłka wróciła z adnotacją "Obóz pieniędzy nie przyjął". Nie otrzymaliśmy oficjalnego powiadomienia o jego śmierci, przez długi czas łudziliśmy się, że może uciekł z obozu. Wojnę udało nam się przetrwać dzięki pracy, którą znalazła mama. Została kucharką, potem administratorką w ochronce dla dzieci, dzięki temu mieliśmy co jeść.

Jeden z dzwonów gdańskiego carillonu w kościele św. Katarzyny w Gdańsku poświęcony jest pamięci Wiesława Januszajtisa. Jego syn należał do inicjatorów odbudowy unikatowego instrumentu. Dzwon ufundował niemiecki gdańszczanin.

**Złoto**

Grudzień 1945. Pociąg z Lublina do Sopotu toczy się przez całą Polskę. 17-letni Andrzej Januszajtis towarzyszy w podróży nad morze krewnej znajomych. Starsza pani jest analfabetką, na dworcu w Łodzi gubi się, wsiada nie do tego pociągu co trzeba. Udaje im się jednak szczęśliwie dotrzeć do celu. Andrzej Januszajtis pierwszy raz w życiu jedzie do Gdańska, choć miasto zna z albumów i przewodników, które były w domu. Na tamtych fotografiach wieża kościoła Mariackiego pnie się majestatycznie do góry, Neptun zastygł w wyszukanej pozie, a ratusz wieńczy złoty posąg Zygmunta Augusta. Tego miasta już jednak nie ma.

- Wędrowałem sam przez pokryte śniegiem ruiny, jak przez labirynt - opowiada. - Gdańsk był okaleczony, ale śnieg przykrywał rany jak bandaż. To miasto nawet po śmierci było piękne. Spod białej warstwy wyzierały złocenia, resztki dawnej świetności. Bo Gdańsk był dawniej barwny i złoty. Kilkadziesiąt lat później Andrzej Januszajtis będzie toczył walkę z konserwatorem zabytków w Gdańsku o to, by podczas renowacji Złotej Kamienicy zachować na fasadzie dawne złocenia. Konserwator uznał bowiem, że te pojawiły się na XVII-wiecznym budynku dopiero dwa stulecia później. Tę batalię Januszajtis przegrał. Dziś fasada kamienicy jest w przeważającej części biała.

- Do następnego remontu - mówi.

**Fortepian**

Jesień 1948. Andrzej Januszajtis znajduje swoje nazwisko na liście studentów Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Na 100 miejsc 60 zarezerwowano dla kandydatów kierowanych przez organizacje partyjne, pozostali - w tym on - musieli zdawać egzaminy. Marzył o tym, by uczyć się budować samoloty, ale ta specjalizacja właśnie została zlikwidowana. Trafia na konstrukcję samochodów i ciągników (do dziś, mimo że od lat ma prawo jazdy, nie jeździ samochodem).

- Lotnictwo nie wzięło się znikąd, kuzyn mojej mamy żyjący w Ameryce zasłynął jako konstruktor samolotów - mówi Januszajtis. - Przed wojną w moim domu mówiło się o tym, że po maturze pojadę do wujka, do Ameryki, i będę się kształcił w tym samym kierunku.
Po studiach zostaje skierowany do pracy w Ośrodku Maszyn pod Koszalinem, nakaz udaje się jednak zmienić i zatrudnia się w Katedrze Fizyki. Pracę łączy ze... studiami muzycznymi.

- Gry na fortepianie zacząłem się uczyć jeszcze w Lublinie, w Szkole Muzycznej - mówi Andrzej Januszajtis. - Mój ojciec był muzykiem, rany odniesione w wojnie bolszewickiej przekreśliły jego karierę pianistyczną. Ja zacząłem naukę zbyt późno. Stanąłem przed wyborem: kontynuować studia muzyczne i zostać średnim muzykiem, czy zająć się doktoratem z fizyki. Wybrałem fizykę.
Na uczelni pracował blisko 40 lat. Napisał trzytomowy podręcznik "Fizyka dla politechnik", pełnił funkcję dyrektora Instytutu Fizyki i dziekana Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej. Był jedną z osób, która otwarcie mówiła o przeszłości i przedwojennych tradycjach Politechniki. Pracownicy uczelni przyznają, że to m.in. dzięki Januszajtisowi na Politechnice Gdańskiej w połowie lat 90. doszło do historycznego spotkania byłych studentów - Polaków i Niemców.

**Kładka**

Wrzesień 2013. Umawiamy się w kawiarni na Długim Targu. Andrzej Januszajtis przyznaje, że po przejściu na emeryturę ma więcej pracy: - Tyle że mogę sam ją sobie planować. Jestem jednak niesystematyczny, pracuję zrywami. To obniża moją wydajność.

W opowieść o swoim życiu wplata wciąż wątki dotyczące historii i architektury Gdańska. Rozmawiamy o tym, że Zielony Most nad Motławą powinien być znów zwodzony, o zabudowie Wyspy Spichrzów, sensie budowania kładki nad Motławą. Z tym ostatnim projektem Januszajtis nie może się pogodzić: - Nie ma sensu budować kosztownej kładki, lepiej wydać pieniądze na dobrze zorganizowaną przeprawę promową. Idąc za propozycją biura projektowego z Wrzeszcza, wyobrażam sobie też, że mógłby w tym miejscu powstać efektowny, wysoki na 51 m łuk z wagonikami przewożącymi ludzi na Ołowiankę. Wykonany z klasą nie przeszkadzałby w zabytkowej panoramie miasta. Takie rozwiązanie rzucałoby na kolana.

Gdańscy architekci i konserwatorzy nie zawsze są zadowoleni z tego, co mówi Januszajtis. - Ma ogromne zasługi dla popularyzacji Gdańska, wielką wiedzę archiwalną, ale w sprawach dotyczących współczesnej architektury bywa dogmatyczny, upiera się przy swoich wizjach - mówi jeden z architektów.

**Znawcy**

Druga połowa lat 50. Młody pracownik Politechniki Gdańskiej zapisuje się na kursy przewodników po Gdańsku. Słucha wykładów o kościele Mariackim. Jeden ze znawców opowiada, że bazylika jest piątą co do wielkości świątynią świata, drugi - że przed wojną był to największy kościół protestancki, jeszcze inny - że to trzecia świątynia chrześcijańska. Skrupulatnego naukowca irytują te różnice zdań. Wybiera się do biblioteki i zaczyna sam obliczać powierzchnię rzutu różnych wielkich kościołów na świecie. Okazuje się, że w Europie jest blisko 50 takich budowli większych od bazyliki Mariackiej. Wszystkie są jednak zbudowane z kamienia. Tylko gdański kościół jest ceglany.

Od tamtej pory wiadomo, że Mariacki w Gdańsku jest największym ceglanym kościołem w Europie.

**Pociąg**

Lato 1961. Panna młoda ma rozkloszowaną sukienkę do kolan, której elegancji dodaje stójka pod szyją. Pan młody w ciemnym garniturze z niesfornymi lokami na głowie. Ślub Ewy Terleckiej i Andrzeja Januszajtisa odbył się w Zakopanem. Trzy lata wcześniej spotkali się w przepełnionym pociągu z Zakopanego do Krakowa.

- Zaproponowałem swoje miejsce w przedziale pięknej młodej dziewczynie stojącej na korytarzu - wspomina Januszajtis. - Rozmawiało nam się tak dobrze, że oboje nie usiedliśmy aż do Krakowa. Szybko znaleźliśmy wspólny temat. Okazało się, że Ewa tak samo jak ja kocha muzykę, jechała właśnie

na lekcję fortepianu. Chciałem zaprosić ją w Krakowie na kawę i ciastko, ale nie miałem już przy sobie ani grosza. Rozstaliśmy się, ale odnalazłem ją podczas kolejnej wizyty w Krakowie.

Małżeństwem są do dziś. Od kilkudziesięciu lat żyją w tym samym mieszkanku przy ul. Stolarskiej na Starym Mieście, które z roku na rok robi się coraz mniejsze: przybywa w nim nut i książek, które stoją na półkach już w dwóch albo w trzech rzędach. Państwo Januszajtisowie próbują nad nimi zapanować, przygotowując spis, z podpowiedzią, gdzie jaka książka jest upchnięta.

**Kamień**

Lipiec 1991. Młodsza córka Januszajtisów, Ola, spędza wakacje w Polsce. Jest utalentowaną skrzypaczką, studiuje w Bostonie, ma już na swoim koncie międzynarodowe sukcesy. Starsza córka, Katarzyna, również gra na skrzypcach, podróżuje z orkiestrą Rajskiego, dziś jest uznanym muzykiem orkiestrowym. Andrzej Januszajtis jest w tym czasie przewodniczącym gdańskiej rady miasta - pierwszej wybranej w wolnych wyborach. Żona uczy w szkole muzycznej.

Aleksandra wyjeżdża z przyjaciółmi w Tatry. Jest słoneczna pogoda, idą trudnym, ale znanym szlakiem. Do grupy przyłącza się młody chłopak. W trudniejszych miejscach pomaga Oli. W pewnym momencie wspina się na grań, by z góry zrobić zdjęcia doliny Pańszczycy. Schodząc, potrąca głaz, który odrywa się od skały i uderza idącą niżej dziewczynę. Zdążyła jeszcze odwrócić głowę i spytać, co się dzieje. Spada w przepaść.

Przyjaciele Aleksandry, z którymi była w Tatrach, biorą udział w pogrzebie i rodzinnym pożegnaniu tragicznie zmarłej dziewczyny. Jest wśród nich także chłopak, który potrącił kamień.

Andrzej Januszajtis: - Sens tej tragedii jest dla nas niezrozumiały. Ola była u progu światowej kariery. Rodzice, przyjaciele i nauczyciele Oli po jej śmierci założyli Towarzystwo Promocji Młodych Skrzypków, które przybrało jej imię. Organizuje ono konkursy, które mają ułatwić start młodym muzykom. W tym roku konkurs odbędzie się po raz 10.

**Zegar**

Grudzień 1983. Grupa zapaleńców, którym przewodzi Andrzej Januszajtis, wybiera się do kościoła Mariackiego w Gdańsku. Od kilku miesięcy spotykają się co czwartek i rozmawiają o tym, jak odbudować zdobiący świątynię monumentalny zegar astronomiczny, drugi co do wielkości na świecie. Urządzenie jest nieczynne od 1553 r.

- W czasie stanu wojennego wygłaszałem odczyt o historii techniki gdańskiej - opowiada Andrzej Januszajtis. - Na sali widziałem zgaszonych, smutnych ludzi. Pomyślałem, że trzeba ich jakoś zachęcić do działania. Opowiedziałem o wspaniałym zegarze astronomicznym na ratuszu w Pradze, zniszczonym podczas wojny, który teraz jest chlubą miasta. Rzuciłem, że szukam chętnych do pomocy przy rekonstrukcji gdańskiego zegara.

Zgłosili się inżynierowie, technicy, miłośnicy zegarów. Zabrakło tylko zegarmistrza. Powstaje Stowarzyszenie Horologium. Zimą 1983 r. grupa przeprowadza wizję lokalną w kościele. Akurat w tym samym czasie trafiają tu części wyposażenia świątyni ze składnicy konserwatorskiej. Podobno są wśród nich części zegara.

- Zaczęliśmy rozkładać je na posadzce. Okazało się, że mamy przed sobą 80 proc. fasady zegara, do tej pory byliśmy przekonani, że jej części zaginęły lub zostały zniszczone - mówi Januszajtis. - To był najradośniejszy dzień w moim życiu.

Zegar zaczął ponownie odmierzać czas w 1990 r., po 437 latach przerwy. W kwietniu przyszłego roku ma się odbyć kolejna uroczystość. - W 550. rocznicę podpisania umowy z twórcą zegara, Hansem Düringerem, chcemy wymienić zużyte części, dokończyć odbudowę i zorganizować międzynarodową konferencję zegarową - zapowiada Januszajtis.

Korzystałam z książki Barbary Kanold "Andrzej Januszajtis. Gdańszczanin z wyboru", wydawnictwo Polnord Oskar, 2007

## Januszajtis - jestem z Gdańska

05.09.2008

O swoim ulubionym miejscu w Gdańsku opowiada prof. Andrzej Januszajtis, znawca historii Gdańska:

- Wybrałem to miejsce, bo moim zdaniem jest niesamowite. Tu był wjazd do starego portu. Rozciąga się stąd przepiękny widok, pierwszy, który widzieli przypływający do miasta marynarze i goście - przestwór wody, w tle kamieniczki Nabrzeża Rybackiego i Targu Rybnego, nad nimi górują wieże ratusza, Bazyliki Mariackiej i kościoła św. Jana, w tej zresztą świątyni znajduje się najwięcej pamiątek związanych z morską historią Gdańska. Wystarczy obrócić głowę w prawo, żeby zobaczyć resztki ruin krzyżackich i gdańskiego grodu z X w. Do dzisiaj tędy wpływają żaglowce, biorące udział w miejskich imprezach. Jednym słowem - to przepiękne miejsce.

## Januszajtis skończył 80 lat

Katarzyna Włodkowska
18.08.2008

- Pańskie życie to nieustające seminarium o Gdańsku. Dziękujemy - mówił w trakcie poniedziałkowej uroczystości w Ratuszu Głównego Miasta abp. Tadeusz Gocłowski.

W Sali Wielkiej Wety Ratusza zebrała się setka gości, a wśród nich m.in. ks. infułat Stanisław Bogdanowicz, proboszcz Bazyliki Mariackiej, senator Edmund Wittbrodt, prezydent Gdańska Paweł Adamowicz, który uroczystość zorganizował, abp. Tadeusz Gocłowski, b. metropolita gdański, radni, ludzie kultury i nauki oraz mieszkańcy.

Fot. Andrzej Skawiński / AG

- Należy pan do grona wybitnych gdańszczan, którzy włożyli w to miasto wiele serca i godzin pracy - mówił prezydent Adamowicz. - Dla wielu ludzi, także dla mnie, był pan, poprzez swoje książki, przewodnikiem po dawnym Gdańsku. Pańska postawa, działalność społeczna,

wystarczy wspomnieć tu choć o odbudowie zegara astronomicznego w kościele Mariackim, jest dla nas wzorem do naśladowania. Na koniec - to pan był pomostem między Polakami a Niemcami, którzy wyemigrowali stąd po 1945 r. Jest pan człowiekiem, jakim każdy z nas chciałby być.

Andrzej Januszajtis urodził się 18 sierpnia 1928 r. w miejscowości Lida na Kresach Wschodnich. Do Trójmiasta przyjechał w 1948 roku. Studiował na Politechnice Gdańskiej na Wydziale Mechanicznym. Po studiach zaangażował się w pracę naukową na uczelni - w latach 1981-83 był dyrektorem Instytutu Fizyki PG, a latach 1983-86 dziekanem Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej, którego był współzałożycielem. Studiował także muzykę, ale największą jego pasją okazał się Gdańsk i jego historia. Od lat zajmuje się przywracaniem piękna miastu, ratowaniem zabytków, pielęgnacją gdańskich tradycji oraz odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki. Doprowadził do odbudowy zegara astronomicznego z 1470 r. na kościele Mariackim i powrotu carillonu na wieżę kościoła św. Katarzyny. W latach 1990-94 Januszajtis był przewodniczącym Rady Miasta. Przyczynił się wówczas do rozwoju współpracy międzynarodowej miasta. Jest współautorem programu rozwoju miasta i regionu. Znajduje czas na pisanie książek i przewodników. W 2002 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Gdańska. Wczoraj, z okazji urodzin, profesor otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska w Dziedzinie Kultury (5 tys. zł) oraz wizytownik wykonany z XIV-wiecznego drewna.

## Januszajtis Andrzej

25.09.2003

14 maja 2002 r. doc. dr inż. Andrzej Januszajtis otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta Gdańska.

Andrzej Januszajtis urodził się 18 sierpnia 1928 roku w miejscowości Lida na Kresach Wschodnich. Do Trójmiasta przyjechał w 1948 roku. Studiował, a potem pracował na Politechnice Gdańskiej. Był dyrektorem Instytutu Fizyki PG i dziekanem Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej.

Januszajtis studiował także muzykę, ale największą jego pasją jest Gdańsk i jego historia. Od lat zajmuje się przywracaniem piękna miastu, ratowaniem zabytków, pielęgnacją gdańskich tradycji oraz odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki. Doprowadził do odbudowy zegara astronomicznego z 1470 roku na kościele Mariackim i powrotu carillonu na wieżę kościoła św. Katarzyny.

W latach 1990-94 Januszajtis był przewodniczącym Rady Miasta. Jest współautorem programu rozwoju miasta i regionu. Znajduje czas na pisanie książek i przewodników (m.in. "Z uśmiechem przez Gdańsk", "Koroną herb twój ozdobiono...", współautor "Wielkiej Księgi Gdańska"). Był też radnym i przewodniczącym Rady Miasta w latach 1990-1994.

## Gdańsk polski czy niemiecki? Januszajtis: wspólny

Rozmawiała: Jowita Kiwnik
06.07.2011

- Powinniśmy traktować Gdańsk jako wspólne dziedzictwo. Tylko "wiecznie wczorajsi" myślą inaczej - opowiada prof. Andrzej Januszajtis, znawca dziejów miasta.

**Jowita Kiwnik: - Wolne Miasto. Gdańsk. Danzig - jaki w końcu jest ten Gdańsk: polski czy niemiecki?**

**Andrzej Januszajtis:** - Dzisiaj oczywiście nie ma wątpliwości. A historycznie? Trzeba rozdzielić dwie rzeczy: przynależność polityczną - w ciągu ponad tysiącletniej historii Gdańsk 700 lat podlegał polskim władcom - i charakter etniczny. A ten się zmieniał.

Andrzej Januszajtis (Fot. Dominik Sadowski / AG)

**Czyli?**

- Pierwszy Gdańsk był polski, czy jak kto woli: pomorski. Ponoć na dworze księcia Świętopełka mówiono po polsku. Sama nazwa też jest polska i oznacza mniej więcej: miasto na wilgotnej łące. Ale jednocześnie już w XIII w. zaczęły obowiązywać prawa niemieckie. Coraz więcej Niemców zaczęło się tu osiedlać. W 1308 r. Gdańsk zajęli Krzyżacy i wymordowali polskich mieszkańców. Za to 150 lat później nastały polskie czasy a Gdańsk przechodził chwile największej świetności jako największe miasto nad Bałtykiem. W XVII w. mieszkało tu 80 tys. ludzi, dla porównania w Krakowie - 20 tys. Gdańszczanie byli bogaci, właściwie to można powiedzieć, że co 20 mieszkaniec był milionerem.

**Mówi się o Gdańsku, że to było miasto wielonacyjne, wielokulturowe.**

- Raj na ziemi to nie był. Ale fakt była duża tolerancja. I tak było właściwie do czasów hitlerowskich. Myślę, że przez wieki gdańszczanie nie mieli silnej świadomości kulturowej. Panował raczej taki gdański patriotyzm. Dajmy na to Heweliusz, w domu mówił po niemiecku ze światem komunikował się po łacinie a w liście do Kochańskiego pisał: " jestem obywatelem świata polskiego". Dopiero w XIX w. zaczęła się kształtować świadomość narodowa, niemiecka i polska.

**Ale już przed wojną Polacy w Gdańsku byli mniejszością.**

- W literaturze niemieckiej z tamtych czasów rzeczywiście można przeczytać, że Gdańsk był czysto niemiecki, że Polacy stanowili tylko 3 proc. populacji. Ja obstawiam, że było ich znacznie więcej: 16-17 proc.

**A co o Gdańsku dzisiaj mówią dzisiaj Niemcy?**

- Że to nasze wspólne miasto. Oczywiście jest pewien margines, który usilnie poszukuje niemieckości. Ale ja ich nazywam "wiecznie wczorajsi".

## Januszajtis: Młyn przy śluzie

Andrzej Januszajtis
17.11.2013

Planując odbudowę młyna przy Kamiennej Śluzie na inne cele, np. na lokal gastronomiczny, warto wykorzystać choćby fragmenty tej konstrukcji jako dekorację, co w połączeniu z również odtworzonymi, obracającymi się kołami wodnymi, stworzyłoby niezwykłą atrakcję. Przy okazji powinno się wyremontować uszkodzone grodze śluzy. Ich zły stan, utrzymujący się od bez mała 80 lat, nas kompromituje.

W budżecie dawnego Gdańska - najbogatszego miasta Rzeczypospolitej - największą pozycją były wydatki na cele obronne, w tym na budowę fortyfikacji. W 1603 r. gotowy był zachodni ciąg umocnień nowożytnych, od bastionu Bożego Ciała do właśnie kończonej pierwszej wersji bastionu św. Gertrudy. Pozostawał problem osłony od wschodu oraz ważnego strategicznie wlotu Motławy w obręb miasta.

Zaproszeni z Włoch specjaliści - Hieronimo Ferrero i Giovan-Battista Vercellese zalecili m.in., by "Motławę, tam gdzie wpływa do miasta zasypać, wykopać dla niej nowe łożysko i zbudować śluzę powodziową z młynem. Młyn, wzniesiony z wielkich kamieni polnych winien się znajdować wewnątrz przy wale, a po obu stronach śluzy należy sporządzić sklepiony przepust dla dwóch młynów. Obydwa przepusty i śluza winny być zakryte żelaznymi kratami, te drugie mają być otwierane i zamykane".

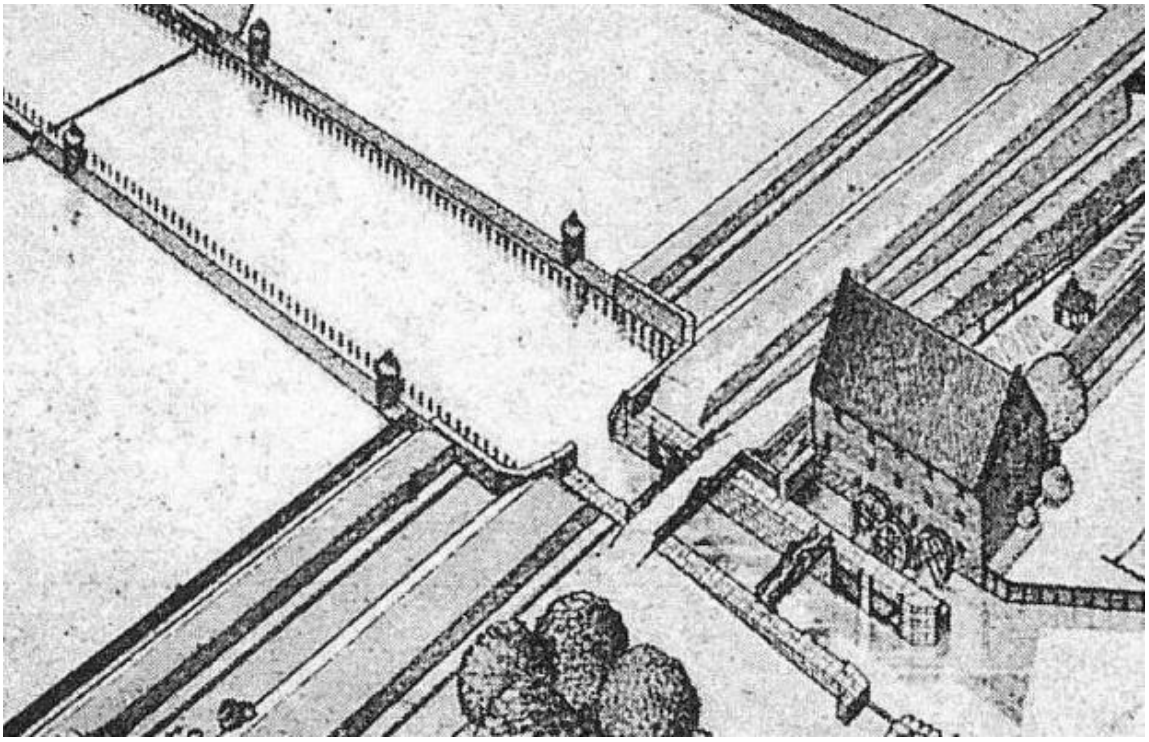

Kamienna Śluza z młynem rezerwowym (Fot. Materiał prasowy)

Ze względu na spiętrzanie wody Ferrero uznał za konieczne zbudowanie dwóch ścian wysokich na 6 do 7 stóp (1,7 do 2 m), zaostrzonych u góry, biegnących od wału do przeciwstoku. Zalecenie zrealizowano: w latach 1619-1623 inżynierowie holenderscy z Alkmaaru, Willem Jansen Benning i Adrian Olbrants, wybudowali na przekopanym nowym

wlocie rzeki tzw. Kamienną Śluzę i jeden z młynów - zachodni. Z drugiego, od strony Dolnego Miasta, zrezygnowano.

W umowie, zawierającej 73 paragrafy (!), są przewidziane przez Włochów mury obrzeżające zespół śluzy. Nie wspomniano w niej o stumetrowych grodzach, które powstały dopiero w latach 1649-1650, ani tzw. lunetach - małych obronnych wysepkach na ich końcach, z lat 1666 (po prawej) i 1672 (po lewej), rozbudowanych do symetrycznych "okularów" (tzw. Świńskich Łbów) w 1701 r. Zaostrzone u szczytu grodze, wraz z, "dziewiczymi" wieżyczkami kierują wody Motławy na śluzę i stopień wodny młyna, stąd fachowa nazwa - kierownice. Inną ich funkcją, przy otwartych wrotach śluzy, było utrzymywanie poziomu wody w fosach, który nie mógł przekroczyć górnej krawędzi gródz. Gdy wrota były zamknięte, spiętrzona woda rzeki wlewała się do fos, opływała miasto i przez drugą śluzę poniżej niego spływała do Wisły. Gdy obie śluzy były zamknięte, woda przelewała się przez wały i zalewała depresyjne tereny na obu Olszynkach i Błoniach. Kamienna Śluza jest zabytkiem wysokiej światowej rangi.

Zajmijmy się jednak młynem zbudowanym wraz z nią, tylko jednym i nie "z kamieni polnych" (jak chcieli Włosi) tylko z cegły. Gdańsk miał wówczas co najmniej cztery młyny wodne dla celów spożywczych: Wielki Młyn na wyspie zwanej Tarczą, Mały (inaczej Pszenny) - Na Piaskach, niedaleko ul. Garncarskiej, Kaszowy - pierwotnie u wylotu Kowalskiej na Podwale Staromiejskie, później przy Tartacznej, i Olejowy przy Osieku (stąd nazwa ul. Olejarnej). Wszystkie były napędzane wodami Kanału Raduni i jego odgałęzień. Wróg, który zajął Pruszcz, mógł je unieruchomić, zamykając tamtejszą śluzę i kierując Radunię w stare koryto. Motławie to nie groziło, więc na niej powstał młyn, uruchamiany w przypadku oblężenia. Przy zamkniętej śluzie i otwartym przepuście młyńskim woda obracała trzy koła wodne, które za pośrednictwem przekładni napędzały młyńskie kamienie. Zespół urządzeń był umieszczony w niezwykle pięknych ramach z rzeźbionych i polichromowanych belek. Mimo zaadaptowania młyna w XIX w. na mieszkania cała ta konstrukcja była zachowana aż do spalenia w 1945 r. Planując odbudowę na inne cele, np. na lokal gastronomiczny, warto wykorzystać choćby jej fragmenty jako dekorację, co w połączeniu z również odtworzonymi, obracającymi się kołami wodnymi, stworzyłoby niezwykłą atrakcję. Przy okazji powinno się wyremontować uszkodzone grodze śluzy. Ich zły stan, utrzymujący się od bez mała 80 lat, nas kompromituje.

## Januszajtis: Biała Struga i Grunschwart

Andrzej Januszajtis

Mam na myśli dwa cieki wodne, od dawna zaginione. Nazwa pierwszego, zapisywana w XIII w. w dokumentach jako Bealestina, Belestrunna, Bealestrunna i Bealestruga, oznacza najprawdopodobniej Białą Strugę. Część tych dokumentów to falsyfikaty, co nie znaczy, że takiej rzeczki nie było.

Nad Wisłą, między Białą Strugą a Strzyżą, rozciągały się łąki, przyznane przez księcia Mściwoja II klasztorowi oliwskiemu (wraz z 16 wsiami) tytułem odszkodowania za odstąpione Krzyżakom włości w Ziemi Gniewskiej.

27.01.2014

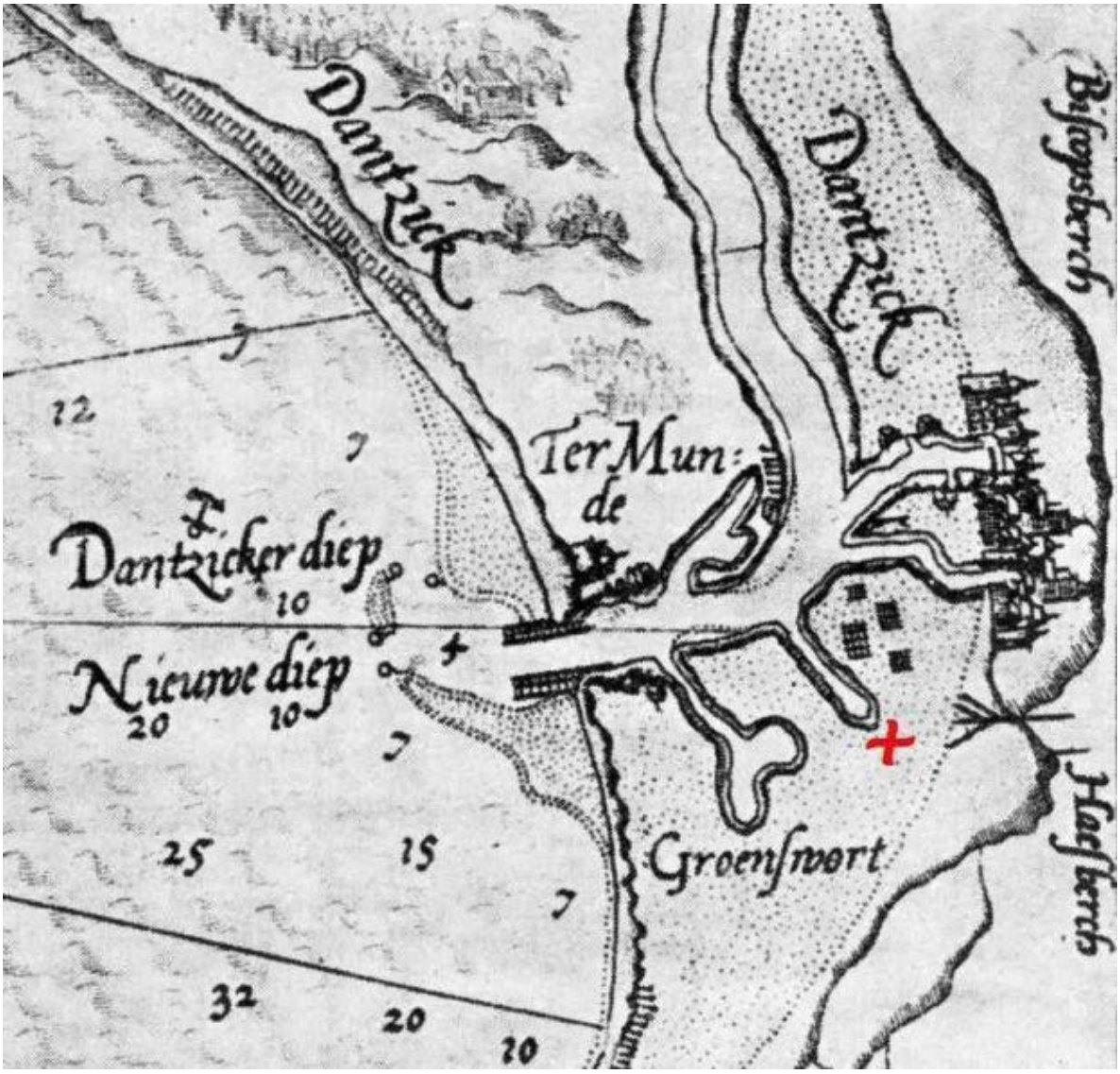


Groenswort na mapie Waghenaara (Fot. materiały prasowe)

W skardze z roku 1346 cystersi określają tę Strugę jako dawne ramię ujściowe Strzyży. Jak to w 1908 r. przekonująco wyjaśnił Paul Sonntag, odchodziło od miejsca, w którym dziś wpada do niej Potok Królewskiej Doliny (na zapleczu ul. Konrada Leczkowa), i biegło w kierunku Letnicy, by po połączeniu się z Radewką (przy ul. Uczniowskiej) skierować się wraz z nią na prawo do Wisły. Południową granicę klasztornych włości stanowiło zawsze ujście Strzyży w rejonie Młynisk. Biała Struga nie mogła więc, jak twierdzili niektórzy autorzy, płynąć w poprzek przez tereny Młodego i Starego Miasta, w stronę grodu w zakolu Motławy. Nazwa zanikła wraz z nią po odwodnieniu terenu w następnych stuleciach.

Jeszcze ciekawsze, wręcz zagadkowe, są losy drugiego z cieków wymienionych w tytule. Także i jego nazwę, w odróżnieniu od poprzedniej niemiecką, zapisywano w różnych wersjach, wiążąc ją jednak zawsze z Młodym Miastem. Według szesnastowiecznej kroniki Hansa Spatta rozebrane w 1455 r. Młode Miasto było założone "an der Grunschwar", czyli przy albo nad wodą tej nazwy. Znacznie później, w roku 1570, Rada wydała zakaz składowania drewna "na Młodomiejskiej Grohneschwarde", bo niepilnowane spływało do głównego nurtu Wisły, tworząc przeszkody dla żeglugi. Nakazała, by robić to "we właściwych miejscach pławienia" pod karą utraty mienia. W tym czasie nie wolno było również

sprzedawać importowanego piwa ze statków "ani przed Mindą (Wisłoujściem), ani przy Grunschwarcie". By dopilnować przestrzegania zakazów, utworzono stanowisko nadzorcy obiektu (kieper von der Grundthschwart), któremu, gdy zachorował, wypłacono w roku 1584/85 18 szelągów. W 1606 r. suma przychodów i rozchodów w związanej z nim rubryce (Grunschwartskieper) wyniosła 108 grzywien. Później wiadomości brak. Dodajmy, że "Kieper" może także oznaczać bednarza.

Co znaczy nazwa, która dziś brzmiałaby Grünschwart? Grün to zielony, Schwarte - powłoka lub skóra, byłaby to więc Zielona Powłoka. Chodzi tu zapewne o kożuch wodnej roślinności na powierzchni wody. Gdzie była ta woda? Na swojej mapie z 1585 r. Lucas Janszon Waghenaar oznaczył jako "Groenswort" jezioro Zaspa z ujściem do Wisły, zwanym później Gardzielą (Sasper Kehle). Stoi to w sprzeczności z umiejscowieniem na Młodym Mieście, pewnym, bo powtarzanym przez wszystkie zapisy. Na tej samej mapie na terenie Młodego Miasta widać krótką odnogę Wisły (oznaczoną przeze mnie krzyżykiem), a przy niej stosy drewna, i to do niej powinna odnosić się nazwa. Jest to ów kanalik na Młodomiejskim Składzie Drzewnym, pokazany bez nazwy na mapie Berndta z 1601 r., a potem na wielu planach - aż do 1914 r., później już nie. Można w nim upatrywać pozostałości kanału portowego Młodego Miasta. Po rozbiórce dzielnicy stał się niepotrzebny i zarósł "zielonym kożuchem", co się odbiło w nazwie. Długo funkcjonował jako miejsce "pławienia" drewna, potem objęły go tereny stoczniowe i w końcu go zasypano. Śladów należałoby szukać przy nabrzeżu, do dziś zwanym Drewnicą.

Dla porządku dodam jeszcze, że według wspomnianego Paula Sonntaga nazwa odnosiła się nie do wody, tylko do zielonej murawy na łące. Faktem jest jednak, że owa woda istniała.

## Januszajtis: Dysproporcje w nowym planie

Andrzej Januszajtis
23.03.2014

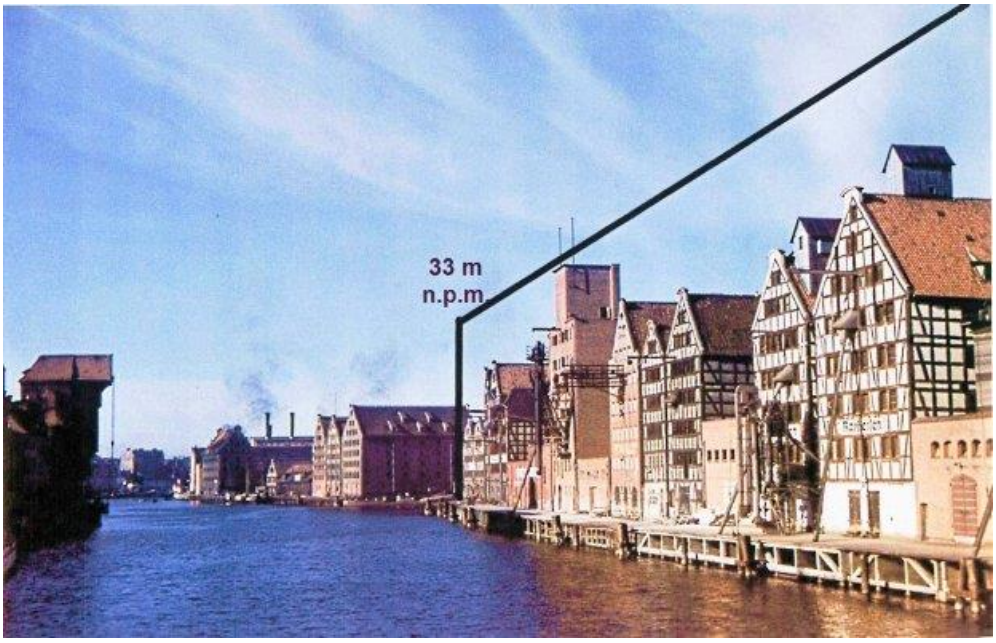


Spichlerze przed zniszczeniem, z dodaną linią 33 m n.p.m. (materiay prywatne)

Mamy nową propozycję planu zagospodarowania przestrzennego północnej części Spichlerzy - niestety, z utrzymaniem wszystkich starych błędów, a nawet ich przekroczeniem. Między innymi maksymalną wysokość równą 33 m nad poziomem morza (przedtem było 30 m, wyjątkowo 33) dopuszcza się teraz na całym obszarze, z wyjątkiem samego cypla (27 m)

Ponieważ grunt na Wyspie Spichrzów leży od 3 (na cyplu) do 4 (ul. Stągiewna) metrów nad poziomem morza, oznacza to dopuszczenie budynków wysokich na 29 do 30 m nad gruntem. Po drugiej stronie Motławy dominantą wysokościową jest Żuraw, mierzący do szczytu dachu 29 m. Co prawda wyżej wznosi się delikatna wieżyczka Domu Przyrodników (Muzeum Archeologiczne) przy ul. Mariackiej, ale sam budynek sięga tylko 27 m. A jak to było na wyspie? Tutejsze spichlerze, których resztki ciągle jeszcze istnieją (nie mówiąc o fundamentach), były wszystkie znacznie niższe. Najniższy - "Daleka Droga" (Chmielna 2/3, na samym cyplu) - miał szczyty na wysokości 16 m nad gruntem, pozostałe mierzyły od 19 do 23 m. Jedyny wyjątek stanowił i stanowi do dziś zbudowany w 1931 r., po spłonięciu (niższego!) poprzednika, spichlerz "Deo" z zespołu "Soli-Deo-Gloria" (Chmielna 9,10,11), który wyrasta na wysokość Żurawia, czyli 29 m. Chciałoby się rzec: oni też robili błędy! Jest jednak różnica: tego olbrzyma nie widać z głębi ulicy Mariackiej, bo nie stoi w jej osi, a w dodatku jest zasłonięty przez Dom Przyrodników. Natomiast obecne dopuszczenie podobnej wysokości na wyspie i jej realizacja (chciałbym zobaczyć inwestora, który nie będzie chciał jej wykorzystać!) sprawi, że szczyty nowej zabudowy, widoczne nad bramami z głębi ulic Chlebnickiej, Mariackiej i Świętego Ducha, bezpowrotnie zaburzą ich krajobraz, tak pieczołowicie odtworzony ze zniszczeń ostatniej wojny. To pogorszenie walorów widokowych jest naruszeniem ustawowych zasad ochrony dziedzictwa. Jest niepojęte, że władze konserwatorskie na nie się zgadzają!

Dla lepszego zilustrowania powstałych przez to dysproporcji przestrzennych załączam widok Starego Portu przed zniszczeniem, z zaznaczeniem linii odpowiadającej wysokości 33 m n.p.m. na Spichlerzach. Niezależnie od kształtu architektury, zachowania podziału na fasady itp. odczujemy tak wysoką pierzeję jako potężną ścianę, przytłaczającej misterny, delikatnie rozczłonkowany, sławny w świecie front wodny (takie modne słowo!) po drugiej stronie Motławy. Jest starą prawdą, że można "zabić" budynek przez postawienie obok drugiego, przytłaczającego go skalą. W tym sensie przeskalowanie zabudowy Spichlerzy będzie zabójcze dla walorów widokowych Długiego Pobrzeża. Litości, drodzy Panowie!

Z pozostałych błędów uderza "ogólnodostępny ciąg pieszy", czyli sprzeczna z historią przerwa w zabudowie na miejscu dawnych spichlerzy "Król Dawid", "Sokół" i "Sarni Łeb" (Chmielna 4,5,6). Jest to wynik pomyłki osób przygotowujących podkładkę historyczną. Uparte trzymanie się błędu jest - jak chce łacińskie przysłowie - "sprawą diabelską". Co stoi na przeszkodzie, żeby ten ciąg pieszy zrealizować na dawnych parcelach nr 7,8,9? Że od cypla trzeba będzie zrobić parę kroków więcej? Połączenie 5 parcel (zamiast dwóch, jak jest w planie) umożliwi większą kubaturę budowli - z niewątpliwą korzyścią dla inwestorów. Przejście na nabrzeże będzie wtedy przedłużeniem ulicy Pożarniczej, co ułatwi komunikację.

W omawianym planie nie ma ani słowa o cennych zabytkach techniki, jakimi są częściowo zachowane obrotnice dla wagonów. Czy zasady ochrony dziedzictwa przestały obowiązywać? Na obszarze Pomnika Historii? Nie rozumiem też, dlaczego ogranicza się możliwości, dopuszczając odtwarzanie historycznych gabarytów (przy całkiem niehistorycznych wysokościach?) jedynie we współczesnych formach?

## Januszajtis: nieznana historia organów z Kościoła św. Katarzyny

Andrzej Januszajtis
09.03.2014

Pierwszą wiadomość o organach w kościele św. Katarzyny podał w 1513 r. kronikarz Krzysztof Beyer: "Zostały skończone organy u św. Bartłomieja, a zaczęte u św. Katarzyny". Ukończone w 1516 r.,

najprawdopodobniej przez Hansa Haucka z Chojnic, z pewnością nie były w nim pierwsze. Trudno sobie wyobrazić, by prastara świątynia parafialna nie miała ich wcześniej - może nawet od początku.

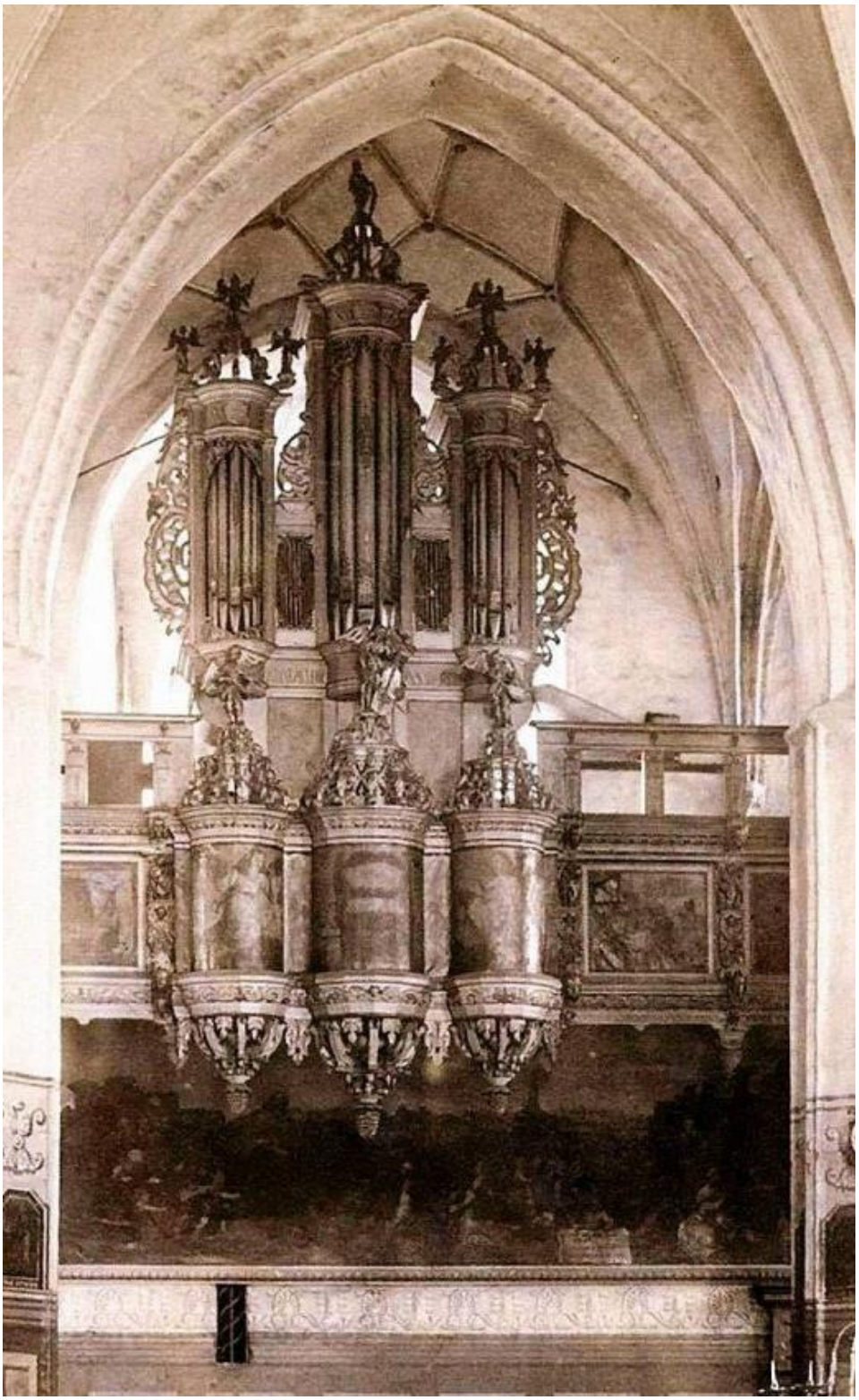

Małe organy u św. Katarzyny (zdjęcie archiwalne) (Fot. archiwum prywatne)

Niedługo potem, w 1540 r., w aktach pojawia się organista, który otrzymuje rocznie 12 grzywien, a w 1560 mamy już nazwisko: Grzegorz Linde. Organy były zapewne nad zakrystią. Z biegiem czasu przestały odpowiadać ambicjom gospodarzy kościoła i w 1603 r. zawarli umowę z Johannem Hellwichem z Neustadt (w Szlezwiku-Holsztynie), który się zobowiązał, że " wybuduje nowe organy na

przeciwko kazalnicy i odnowi stare organy przy prezbiterium " za 1500 talarów. Ten sam mistrz zbudował zachowane do dziś organy w kościele Mariackim w Toruniu.

Nad organami św. Katarzyny Hellwig, jak go dziś piszemy, pracował 4 lata. Przy prospekcie wielkich organów współpracował z nim Szymon Herle, którego znamy ze znakomitych dzieł w Ratuszu Głównego Miasta. Otrzymały 33 głosy (to tak jak orkiestra złożona z tylu instrumentów) i "sztafirowane" piszczałki, rozdzielone na trzy pozytywy: tylny, przedni i górny (możemy je dziś oglądać w tzw. pozytywie bocznym w katedrze w Oliwie). Ulokowany był nad kruchtą południową. Siedzący tyłem do nawy organista miał przed sobą wspaniały prospekt, sięgający aż do sklepienia, a za plecami, na balustradzie empory - wspomniany pozytyw tylny.

W 1650 r. Jerzy Nitrowski dodał boczne wieżyczki piszczałkowe. Wcześniej, w 1644 r. Paul Fischer z Malborka, przebudował małe organy z zachowaniem piszczałek. W 1810 r. wymieniono w nich manuał (klawiaturę). Wielkie remonty w latach 1875 (E. Streiber) i 1910 (E. Wittek, z przebudową traktury na pneumatyczną) nie objęły małych organów, w których w trakcie drugiego z nich wymieniono tylko jeden głos i dodano jeden w pedale (w sumie było ich 9). Z biegiem czasu wyłączono je z użycia, dzięki czemu przetrwały w pierwotnym stanie.

Sensację wzbudziło ich "odkrycie" w 1929 r.:
"Okazją dla zbadania nieużywanej od lat empory w północnej nawie nie były organy, za których fasadą spodziewano się nudnego werku pneumatycznego, tylko trzy okrągłe wieżyczki w jej balustradzie, zamknięte malowanymi drzwiczkami, które wyglądały na pierwotny pozytyw tylny. Wejście na emporę odkryto w końcu za starą szafą, która była na szczęście pusta, tak że dała się niepostrzeżenie przesunąć i uwolniła drogę na ukryte w ścianie schody, na których stopniach leżała gruba na palec warstwa kurzu. Równie gruby kurz leżał na podłodze empory, ławce organów i przekrzywionym manuale z tyłu małych organów " (W. Renkewitz, J. Janca).

Jak się okazało, wspomniane wieżyczki balustrady były rzeczywiście pozostałością organów Haucka z 1516 r.! Niegdyś mieściły 45 piszczałek, po 15 w każdej. Skutkiem odkrycia było odrestaurowanie bezcennego instrumentu w 1938 r. przez gdańską firmę Goebla. W 1943 r. ewakuowano prospekty obu instrumentów do Kończewic i Lichnów na Żuławach. Empora małych organów przetrwała w kościele, malowidła z jej balustrady i starych wieżyczek przechowuje gdańskie Muzeum Narodowe. Przebudowany pozytyw z 1644 r. wszedł w skład niedokończonych organów nad kruchtą boczną. Gospodarze kościoła (ojcowie karmelici) mają w magazynie prawie kompletne prospekty obojga organów. Odbudowa tych niezwykłych klejnotów naszej kultury może je światu przywrócić. Najprościej będzie zacząć od małych organów, później przyjdzie czas na wspaniały instrument Hellwiga. Warto przypomnieć, że w Polsce nie mamy obecnie organów, pochodzących choćby częściowo z XVI wieku!

## Januszajtis: Flaga z Apoteozy Gdańska

Andrzej Januszajtis
12.11.2013

W centralnym miejscu plafonu Wielkiej Izby Rady (tzw. Sali Czerwonej) gdańskiego ratusza znajduje się owalny obraz - "Apoteoza Gdańska" - namalowany w 1608 r. przez Izaaka van den Blocka. Apoteoza oznacza wywyższenie ku Bogu i rzeczywiście jest tam miasto na szczycie bramy triumfalnej, podniesione ku niebu, na którym widnieje ręka Boża, zachowująca Gdańsk - jak to określa napis - pod skrzydłami Białego Orła.

W centralnym miejscu plafonu Wielkiej Izby Rady (tzw. Sali Czerwonej) gdańskiego ratusza znajduje się owalny obraz - "Apoteoza Gdańska" - namalowany w 1608 r. przez Izaaka van den Blocka. Apoteoza oznacza wywyższenie ku Bogu i rzeczywiście jest tam miasto na szczycie bramy triumfalnej, podniesione ku niebu, na którym widnieje ręka Boża, zachowująca Gdańsk - jak to określa napis - pod skrzydłami Białego Orła. Symbolika jest tak czytelna i zgodna z tym, czym gdańszczanie ozdabiali

budowle publiczne (centralnie umieszczone herby Polski), że trudno pojąć, dlaczego niektórzy interpretują Orła tylko jako symbol Boga. Nie rozumieją napisu, który jednoznacznie informuje, że: "Ona" (Boża ręka) zachowuje "pod tymi skrzydłami" (sub his alis), a nie "pod Jego skrzydłami" (sub ejus alis), jak musiałoby być w tym drugim przypadku.

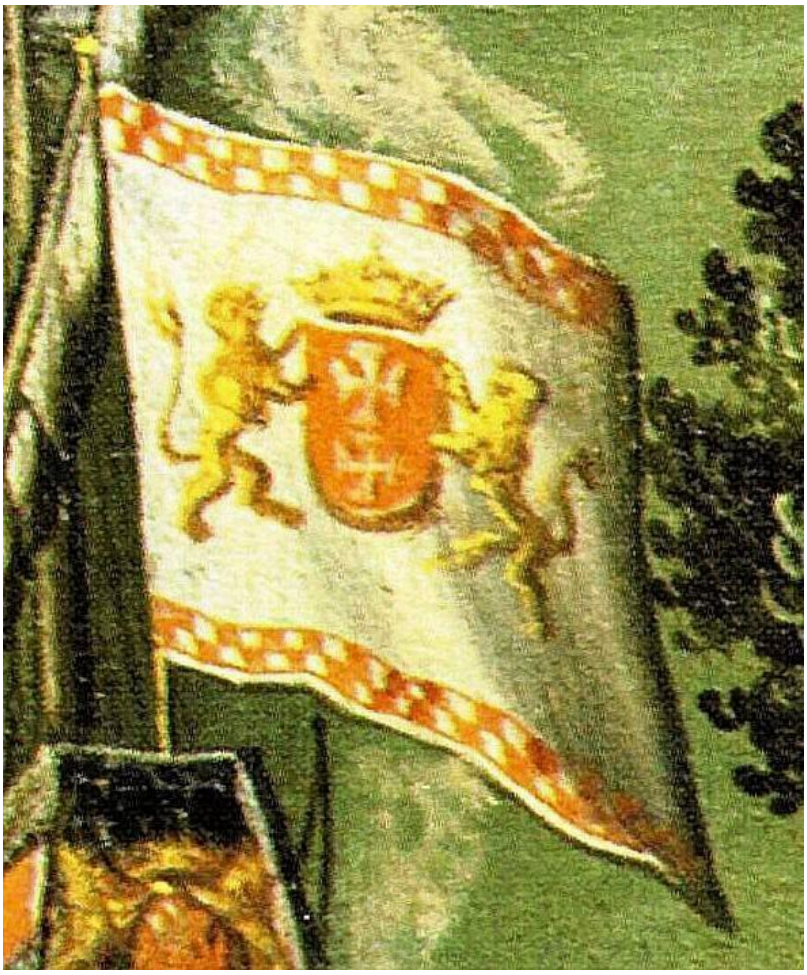

Flaga miejska z Apoteozy Gdańska Izaaka van den Blocka (1608) (Fot. materiały prywatne)

Ale zostawmy ten temat, by przyjrzeć się innej strefie obrazu. Na lewo od Dworu Artusa i fontanny Neptuna (której wtedy jeszcze nie było, więc pewnie namalowanej według projektu) widać Zielony Most, przedstawiony w uproszczeniu, ale zielone kolumny ze złotymi głowami lwów u góry pozwalają na niewątpliwą identyfikację. Rzeka, przez którą go przerzucono, wpadająca do Wisły, to oczywiście Motława. Przy moście przycumował trzymasztowy statek, tzw. fleuta, o pękatym kadłubie, mającym w przekroju kształt gruszki, co zapewniało zwiększoną ładowność przy zmniejszonej powierzchni pokładu, od której Duńczycy pobierali cło w Sundzie. Dzięki takiemu kształtowi płacono mniej! Rufę statku zdobią dwa godła - związane z jego nazwą i godło właściciela - a nad nimi rzeźbiony i polichromowany herb Gdańska. Na masztach trzepoczą flagi. Na pierwszym od dziobu, fokmaszcie, jest to flaga z krzyżem św. Jerzego (czerwonym na białym tle), na środkowym, grotmaszcie, flaga gdańska - taka jak dziś, czerwona, z dwoma białymi krzyżami i złotą koroną. Najciekawsza, bo niespotykana gdzie indziej, jest ta trzecia, na bezanmaszcie. Na białym polu, obrzeżonym u góry i u dołu szlakiem złożonym z podwójnych pasów czerwonych i białych kwadratów dwa złote lwy trzymają półokrągłą czerwoną tarczę z dwoma białymi krzyżami. Złota korona zamiast w tarczy jest umieszczona nad nią, co w heraldyce oznaczało pewną deprecjację. Przywilej Kazimierza Jagiellończyka z 25 maja 1457 r. poprawiający herb Gdańska wyraźnie stwierdzał, że "może jeszcze mieć, trzymać i po wieczne czasy prowadzić złotą koronę w górnej części tarczy." Jest zadziwiające, że

władze miasta tolerowały takie odstępstwo od heraldycznej poprawności w głównym obrazie reprezentacyjnej sali ratusza!

Wyżej określiłem tę flagę jako niespotykaną gdzie indziej. Czy była zrodzona tylko w wyobraźni malarza? Otóż nie. W rzeczywistości znalazłem jeszcze jeden egzemplarz. W Zbiorach Dzieł Sztuki na Wawelu była, a zapewne jest do dzisiaj, podobna gdańska flaga, z tego samego czasu, z tą samą kolorystyką płata tkaniny i herbu. Dysponuję tylko zdjęciem fragmentu, więc nie wiem, czy także miała szachownicowe pasy u góry i dołu, mogę jedynie stwierdzić, że wyhaftowany na niej herb jest prawidłowy: dodana przez króla korona jest nad krzyżami w górnej części tarczy. Nie wiemy, jak flaga trafiła na Wawel. Istnieje, więc niewątpliwie była używana - obok tej drugiej, czerwonej z tzw. małym herbem (bez lwów). Warto ją odtworzyć i wykorzystywać przy różnych uroczystościach, wraz z również przywróconymi sztandarami czterech kwartałów, znanymi z ilustracji w zbiorach Biblioteki Gdańskiej (PAN).

## Januszajtis: Epitafium Wildtbergera w kościele Mariackim

Andrzej Januszajtis
01.11.2013

Początek listopada nieodmiennie kojarzy się nam z dniem Wszystkich Świętych i przypadającymi nazajutrz Zaduszkami. Myśl zwraca się ku Zmarłym. Wiele starań wkładamy w porządkowanie grobów i miejsc pamięci. Pięknym wyrazem pamięci o zmarłych są epitafia w gdańskich kościołach.

Wiele z nich upamiętnia ludzi, którzy przyczynili się do chwały miasta. Są jednak i inne, można by rzec przypadkowe, poświęcone ludziom spoza Gdańska, którzy przyjechali na krótko i tutaj dopadła ich śmierć. Jedno z tych epitafiów wisi w bardzo eksponowanym, wręcz zaszczytnym miejscu kościoła Mariackiego: na Pierwszym Filarze Ukrzyżowania, jak go nazywano, czyli na północno-wschodnim filarze skrzyżowania naw. Epitafium, niedawno pięknie odnowione, błyszczy od złota. Ma postać podłużnej tablicy, ujętej w bogate obramowanie z figurami i dekoracją naśladującą metalowe okucia. Czegoż tu nie ma! Są putta i trupie czaszki z rurkowanymi kryzami, alegoryczne figury i główki, a w ażurowej oprawie portretu zmarłego i bocznych występach - uszakach podano jak na talerzu złote liście i kolorowe owoce - banany, gruszki, figi, jabłka granatu i winne grona. Całość wieńczy figura Miłości (Caritas) z dzieckiem na ręku i dwójką innych tulących się do jej stóp. Kariatydy podtrzymujące belkowanie herbowego kartusza, na którym stoi, nie przedstawiają jednak, jak należałoby się spodziewać, jej siostrzyc - Wiary i Nadziei. Jest to raczej Roztropność (z księgą) i Umiarkowanie (z czymś, co można chyba odczytać jako pochodnię?).

Kim był bohater tego dzieła? Na czarnym tle czytamy wypisaną złotą majuskułą (dużymi literami) informację: "P.M.S. (Piis Manibus Sacrum - pobożnymi rękami poświęcone) Jerzemu Wildtbergerowi, synowi Ruperta Wildtbergera senatora w Linzu nad Dunajem, który jako chłopiec w Tybińskiej, jako podrostek w Sztrasburskiej Akademii pobożności i dobrym umiejętnościom się poświęcił, jako młodzieniec we Włoszech, działając z najwyższą chwałą i rzetelnością obyczajów stał się tam niektórym, zwłaszcza pochodzącym ze Szwecji, bardzo uczynny, przez których potem zaproszony do Szwecji się przeniósł, gdzie Najjaśniejszemu królowi Janowi, a następnie jego synowi Zygmuntowi III, królowi Polski jako osobisty sekretarz wiernie służąc, różnorakie poselstwa z pilnością sprawował. Mężowi odznaczającemu się najwyższą roztropnością, cnotą i czystością życia, prawdziwie szlachetnemu Piotr Wildtberger i Tomasz Pulshamer, zasmuceni spadkobiercy (pomnik) wystawili. Śmierć go zabrała roku 1593 ósmego dnia miesiąca lutego, gdy miał zaledwie 43 lata."

Jerzego (Georga) Wildtbergera można określić jako austriackiego dyplomatę w służbie Szwecji i Polski. W owalu u dołu widnieje jego podobizna, namalowana przez Antoniego Möllera lub kogoś z jego pracowni. Przystrojone w rurkowane kołnierze czaszki u dołu mają podobno symbolizować zmarłego i jego żonę. Pod jedną czaszką napisano: QUOD ES EGO FUI, czyli "kim jesteś, ja byłam" (lub byłem), pod drugą QUOD SUM TU ERIS - "kim jestem, ty będziesz". Między nimi jest trzecia czaszka, oznaczająca Śmierć, oraz klepsydra (zegar piaskowy) - ot, takie Memento Mori W zwieńczeniu przywracają optymizm sylwetki orłów - symbol Nieśmiertelności.

Epitafium, uszkodzone podczas wojny, odrestaurowano w 2005 r. pod kierunkiem Tomasza Korzeniowskiego. Niektóre elementy - putta, orły, konsolki, kapitele i obramienia portretu - trzeba było zrekonstruować, resztę zakonserwować, scalić i przywrócić polichromię. Portret znalazł się w Muzeum Archidiecezjalnym w Oliwie.

Fundatorami tej roboty na medal byli - chwała im za to - gdańscy piekarze. Wymieńmy jeszcze wykonawców: Stanisława Milewskiego i Adama Kołodzieja. Figury już wcześniej zakonserwowała Maria Bigoś-Bojarska.

Epitafium Wildtbergera w kościele Mariackim (A. Januszajtis)

## Januszajtis: Co od czego oddziela Podwale Przedmiejskie?

Andrzej Januszajtis
19.01.2014

Nie wymyślałbym takiego tematu, gdyby nie uporczywe błędy, na jakie natrafiam w gazetach, niestety także gdańskich. Oto na przykład pod koniec ubiegłego roku w jednej z nich była mowa o nowym budownictwie "przy ulicy Sadowej na Starym Przedmieściu"! W innej przeczytałem kilka dni temu informację, jakoby Podwale Przedmiejskie oddzielało Główne Miasto od Dolnego!

Autorzy różni, ale przyczyna ta sama - brak elementarnego rozeznania w topografii naszego miasta. Brak tym bardziej zadziwiający, że jest ona w Gdańsku prosta i nietrudna do zapamiętania, a historyczne dzielnice (ściślej połacie) Śródmieścia mają wyraźnie zaznaczone granice.
Zacznijmy od Głównego Miasta, zajmującego od wieków obszar od Targu Węglowego do Starej Motławy i od Podwala Staromiejskiego do Przedmiejskiego. To są jego granice, których nigdy nie przekroczyło. Na północ od Podwala Staromiejskiego aż do Podwala Grodzkiego (przy Dworcu Głównym) i Wałowej rozciąga się Stare Miasto.

Stare Przedmieście (u dołu) i Główne Miasto (u góry) z rozdzielającym je Podwalem Przedmiejskim (Fot. Andrzej Januszajtis)

Na południe od Podwala Przedmiejskiego aż do Bramy Nizinnej jest od wieków Przedmieście, od 1945 r. zwane Starym Przedmieściem. Obie te połacie Śródmieścia również sięgają tylko do Starej Motławy. Między Starą i Nową Motławą leży Wyspa Spichrzów (oficjalnie Spichlerze). Dopiero za Nową Motławą zaczyna się Dolne Miasto, sięgające do dawnej fosy (tzw. Opływu Motławy), a na północ od niego leżą Długie Ogrody.

Historyczną granicą między nimi i Dolnym Miastem jest ciąg ulic Ułańskiej i Sadowej, nową, bliską dawnej - odcinek Trasy W-Z, na który nie można tutaj przenosić nazwy "Podwale Przedmiejskie", bo jest to historyczny absurd!

Oba Podwala: Staromiejskie i Przedmiejskie, nazywają się tak od dzielnic, z którymi sąsiadują, pierwsze od Starego Miasta, drugie od (Starego) Przedmieścia.

Przedłużenie Podwala Przedmiejskiego na Wyspie Spichrzów biegnie mniej więcej po linii dawnej ulicy Zarzewie i tak się tu powinno nazywać.

Dalszy odcinek, rozdzielający Długie Ogrody i Dolne Miasto, przebiega obok zachowanej ulicy Ułańskiej (od Nowej Motławy do Łąkowej) i - Sadowej (za Łąkową), mógłby więc nosić ich nazwy. Można go też nazwać inaczej. Jak? Proponuję nazwę historyczną: Szkocka Grobla. Tak początkowo, co najmniej od 1550 r., nazywała się południowa granica Długich Ogrodów. Było to logiczne: od północy ograniczała dzielnicę Grobla Angielska, od południa Szkocka. Obie upamiętniały osiedlonych tu imigrantów z Anglii i Szkocji.

Nazwa Grobli Angielskiej, mimo że starsza (agger anglicorum zapisano już w 1415 r.), w polskiej wersji przetrwała do dziś. Jej szkocki odpowiednik w 1650 r. ustąpił miejsca osobnym nazwom obu wspomnianych ulic. Pierwszą zaczęto w 1650 r. nazywać Rajtarską (Reutergasse). W 1945 r. zmieniono to na Szwoleżerów, a w 1953 na Alfreda Lampego (komuniści też mieli swoich "świętych"!).

W 1957 r. Lampe poszedł w odstawkę i odtąd mamy ulicę Ułańską. Sadowa zachowała nazwę Szkockiej Grobli do roku 1763, w którym podzielono ją na dwie części: od Łąkowej do zakrętu był to Smrodliwy Zaułek (Stinkgang), dalej do wałów Zakątek (Winkel). W 1817 r. całą określano jako Tylną Długich Ogrodów (Langgarter Hintergasse), w 1920 r. stała się Ogrodową (Herrengarten - "Ogród Panów"), od sąsiedniego bastionu z XVII w., zwanego dziś Ogrodowym.

Nazwy się zmieniały, granice dzielnic - nie. Powtórzmy: Główne Miasto nie graniczy z Dolnym, bo oddzielają je obie Motławy (Stara i Nowa) z Wyspą Spichrzów między nimi. Żadna ulica nie może rozdzielać niegraniczących ze sobą dzielnic. Twierdzić, że jest inaczej, to tak jakby ktoś napisał, że w Gdyni ulica 10 Lutego oddziela Oksywie od Witomina, albo w Warszawie Aleje Jerozolimskie - Żoliborz od Saskiej Kępy!

## Januszajtis: Mój jarmarczny nabytek

Andrzej Januszajtis
18.08.2013

Tegoroczny jarmark św. Dominika wydaje mi się jednym z najlepszych. Mimo rekordowej liczby 2 tys. wystawców stosunkowo łatwo jest dotrzeć do poszukiwanych obiektów. Układ jest klarowny, a stoiska ustawione tak, że ktoś kto się spieszy, może wygodnie przejść obok, niezastawionymi drogami.

Czego brakuje, to stoisk ze starymi i nowymi książkami. Być może sprzedawcy boją się o popyt, niewątpliwie zmniejszony przez coraz szersze możliwości kupowania ich w księgarniach i antykwariatach świata przez internet. Za to są pocztówki w dużym wyborze. I właśnie taką

widokówkę, wydrukowaną w 1904 r. przez renomowaną firmę Dr. Trenkler Co. w Lipsku, znalazłem na jednym ze stoisk i po krótkim targowaniu się (bez tego jarmark nie miałby uroku!) kupiłem, za nieważne ile.

Czego brakuje, to stoisk ze starymi i nowymi książkami. Być może sprzedawcy boją się o popyt, niewątpliwie zmniejszony przez coraz szersze możliwości kupowania ich w księgarniach i antykwariatach świata przez internet. Za to są pocztówki w dużym wyborze. I właśnie taką widokówkę, wydrukowaną w 1904 r. przez renomowaną firmę Dr. Trenkler Co. w Lipsku, znalazłem na jednym ze stoisk i po krótkim targowaniu się (bez tego jarmark nie miałby uroku!) kupiłem, za nieważne ile.

Kupiłem, bo choć mam ten widoczek w komputerze, jest on tam niższej jakości niż na litograficznej pocztówce, przedstawiającej w kolorze "Widok z Zielonego Mostu". Po lewej stronie widzimy przepiękną panoramę Długiego Nabrzeża, praktycznie niezmienioną do dziś (zmiany są niewielkie i w gruncie rzeczy nieistotne), po prawej - jedyną w swoim rodzaju pierzeję spichlerzy, skarbiec dawnego Gdańska. Nazywam je skarbcem, bo mieściły w przepastnych wnętrzach podstawę bogactwa gdańszczan - towary przynoszące krociowe zyski. Gładką toń Motławy pośrodku zapełniają jednostki pływające. Najwięcej jest barek wiślanych z masztami, na których stawiano żagle, żeby mogły płynąć w górę rzeki, ale jest też kilka małych parowców.

Z prawej strony stoi dwumasztowy żaglowiec, z częściowo rozwiniętymi dwoma żaglami na rejach, a w głębi, pod Żurawiem przepływa prastary prom linowy. Z wysięgnika Żurawia zwisa łańcuch z wielokrążkiem i hakiem, pokazując, że nie jest to martwy eksponat muzealny, tylko dźwig, gotowy do pracy. Szkoda, że dotychczas tego elementu nie przywrócono. Argument o zagrożeniu w przypadku silnego wiatru nie przekonuje mnie; można przecież wtedy zamocować łańcuch dodatkowymi linkami, tak by się nie kołysał.

Na obrazku mamy w sumie piękne i wierne odwzorowanie ówczesnej codziennej rzeczywistości Starego Portu nad Motławą. Kolory są nieco stonowane, ale prawdziwe. Z tyłu jest nadruk: "Postkarte - Weltpostverein" (pocztówka - Światowa Unia Pocztowa) i to samo po francusku "Carte postale. Union postale universelle". Wspomniana tutaj Światowa Unia Pocztowa powstała w roku 1874. Jednym z jej założycieli był ówczesny Generalny Poczmistrz Rzeszy Niemieckiej, rodowity słupszczanin Heinrich von Stephan (1831-1897). Niemcy zawdzięczają mu reformę poczty, świat - wprowadzenie do obiegu kartek widokowych.

Ta, którą mam przed oczami, kolejny raz potwierdza niezwykłe piękno gdańskiego krajobrazu - w tym przypadku portowego - i uświadamia słuszność porównań do weneckiego Canal Grande. Po straszliwym, choć nie całkowitym zniszczeniu w ostatniej wojnie udało się przywrócić piękno na lewym brzegu Motławy. Nie potrafię zrozumieć tych, którzy z taką gorliwością przeciwdziałają jego odtworzeniu po drugiej stronie, na Spichlerzach! Robią wszystko, by wprowadzić tam architekturę niedopasowaną stylistycznie, zbyt wysoką (zwłaszcza w przedłużeniu osi ulic Głównego Miasta), pełną nadmiernych kontrastów, a kolorystycznie, w porównaniu do dawnej - ubogą. A przecież odbudowane, lekko zmodyfikowane spichlerze mogą pełnić wszystkie nowe funkcje.

Drugim elementem, którego brakuje, jest żegluga. Na oko sądząc, pływa obecnie po Motławie nie więcej niż 5 procent tego co przed wojną, gdy przez śluzę w Przegalinie przepływało rocznie ponad 13 tysięcy rzecznych jednostek! Możemy to mieć i dzisiaj, jeżeli zamiast stawiania barier dla żeglugi (kładka zamiast promu itp.) ułatwimy wpływanie w górę Starej i Nowej Motławy przez przywrócenie zwodzenia starych mostów i odbudowę nabrzeży.

Kupiłem, bo choć mam ten widoczek w komputerze, jest on tam niższej jakości niż na litograficznej pocztówce, przedstawiającej w kolorze "Widok z Zielonego Mostu". Po lewej stronie widzimy przepiękną panoramę Długiego Nabrzeża, praktycznie niezmienioną do dziś (zmiany są niewielkie i w gruncie rzeczy nieistotne), po prawej - jedyną w swoim rodzaju pierzeję spichlerzy, skarbiec dawnego Gdańska. Nazywam je skarbcem, bo mieściły w przepastnych wnętrzach podstawę bogactwa gdańszczan - towary przynoszące krociowe zyski. Gładką toń Motławy pośrodku zapełniają jednostki

pływające. Najwięcej jest barek wiślanych z masztami, na których stawiano żagle, żeby mogły płynąć w górę rzeki, ale jest też kilka małych parowców.

Z prawej strony stoi dwumasztowy żaglowiec, z częściowo rozwiniętymi dwoma żaglami na rejach, a w głębi, pod Żurawiem przepływa prastary prom linowy. Z wysięgnika Żurawia zwisa łańcuch z wielokrążkiem i hakiem, pokazując, że nie jest to martwy eksponat muzealny, tylko dźwig, gotowy do pracy. Szkoda, że dotychczas tego elementu nie przywrócono. Argument o zagrożeniu w przypadku silnego wiatru nie przekonuje mnie; można przecież wtedy zamocować łańcuch dodatkowymi linkami, tak by się nie kołysał.

Na obrazku mamy w sumie piękne i wierne odwzorowanie ówczesnej codziennej rzeczywistości Starego Portu nad Motławą. Kolory są nieco stonowane, ale prawdziwe. Z tyłu jest nadruk: "Postkarte - Weltpostverein" (pocztówka - Światowa Unia Pocztowa) i to samo po francusku "Carte postale. Union postale universelle". Wspomniana tutaj Światowa Unia Pocztowa powstała w roku 1874. Jednym z jej założycieli był ówczesny Generalny Poczmistrz Rzeszy Niemieckiej, rodowity słupszczanin Heinrich von Stephan (1831-1897). Niemcy zawdzięczają mu reformę poczty, świat - wprowadzenie do obiegu kartek widokowych.

Ta, którą mam przed oczami, kolejny raz potwierdza niezwykłe piękno gdańskiego krajobrazu - w tym przypadku portowego - i uświadamia słuszność porównań do weneckiego Canal Grande. Po straszliwym, choć nie całkowitym zniszczeniu w ostatniej wojnie udało się przywrócić piękno na lewym brzegu Motławy. Nie potrafię zrozumieć tych, którzy z taką gorliwością przeciwdziałają jego odtworzeniu po drugiej stronie, na Spichlerzach! Robią wszystko, by wprowadzić tam architekturę niedopasowaną stylistycznie, zbyt wysoką (zwłaszcza w przedłużeniu osi ulic Głównego Miasta), pełną nadmiernych kontrastów, a kolorystycznie, w porównaniu do dawnej - ubogą. A przecież odbudowane, lekko zmodyfikowane spichlerze mogą pełnić wszystkie nowe funkcje.

Drugim elementem, którego brakuje, jest żegluga. Na oko sądząc, pływa obecnie po Motławie nie więcej niż 5 procent tego co przed wojną, gdy przez śluzę w Przegalinie przepływało rocznie ponad 13 tysięcy rzecznych jednostek! Możemy to mieć i dzisiaj, jeżeli zamiast stawiania barier dla żeglugi (kładka zamiast promu itp.) ułatwimy wpływanie w górę Starej i Nowej Motławy przez przywrócenie zwodzenia starych mostów i odbudowę nabrzeży.

## Januszajtis: Mogę tylko ubolewać nad zamkniętym pasażem w Zbrojowni

Aleksandra Kozłowska
17.06.2013

Zbrojownia, widok od Targu Węglowego (Fot. Renata Dąbrowska / Agencja Gazeta)

- Moim zdaniem handel najlepiej by się tu sprawdził, zwłaszcza małe sklepy, które dodają barwności i życia, w przeciwieństwie do wielkich bezdusznych firm - mówi prof. Andrzej Januszajtis

**Aleksandra Kozłowska: Wczoraj dowiedzieliśmy się, że zarówno handel, jak i pasaż komunikacyjny na parterze Zbrojowni na pewno nie wrócą. Akademia Sztuk Pięknych, właściciel Zbrojowni ma inny pomysł na udostępnienie jej mieszkańcom. Po remoncie (zakłada się, że potrwa trzy lata) ruszy tzw. Zbrojownia Sztuki, czyli wystawy, warsztaty artystyczne - też dla mieszkańców, może koncerty. W dalszej przyszłości kawiarnia czy restauracja.**

Prof. Andrzej Januszajtis, znawca historii Gdańska: - Mogę tylko ubolewać nad tym, że nie będzie swobodnego, wygodnego przejścia przez Zbrojownię, do którego wszyscy byliśmy przyzwyczajeni. Dobrze, że uczelnia planuje tam prezentacje sztuki i działalność edukacyjną, że coś będzie się tam działo. Chciałbym jednak przypomnieć, że handel na parterze Zbrojowni ma długie tradycje. Przed wojną swoje sklepy mieli tu jubilerzy, producenci porcelany i innych luksusowych przedmiotów. Rozumiem, że jest kryzys, ale dlaczego ASP tak zdecydowanie odżegnuje się od wynajmowania powierzchni sklepom? A gdyby najemca sam się do nich zgłosił? Czy też by odmówili? Moim zdaniem handel najlepiej by się tam sprawdził, zwłaszcza małe sklepy, które dodają barwności i życia, w przeciwieństwie do wielkich bezdusznych firm.

**Zamknięty pasaż w Zbrojowni w dużym stopniu zamyka też ruch na Targu Węglowym. Po likwidacji parkingu plac ten będzie otwartą przestrzenią miejską, po drugiej stronie mamy ul. Piwną - również całoroczny deptak. Przejście przez Zbrojownię - jakie istniało przecież przez lata - byłoby naturalnym łącznikiem, służącym mieszkańcom, turystom i samej ASP.**

- Właśnie, a przy okazji przechodnie oglądaliby przygotowane przez uczelnię wystawy, interesowaliby się organizowanymi w Zbrojowni warsztatami.

**Wiadomo, że na wakacje zlikwidowany zostanie parking na Targu i postój taksówek, co dalej - miasto postanowi. Na razie mają tu być powiększone ogródki, będzie też więcej ławek. Potem, jak co roku stragany Jarmarku Dominikańskiego, Dni Wilna. A jak pana zdaniem powinien wyglądać i działać Targ Węglowy?**

- W tej chwili mamy właściwie tylko pół placu. Dopóki nie zostanie odbudowana zachodnia pierzeja, trudno mówić o Targu Węglowym jako całości. Pojawiają się różne pomysły, ostatnio na łamach 'Gazety' czytałem o pracy dyplomowej pewnego studenta, który zaprojektował po stronie zachodniej kolumnadę nawiązującą do tej, która istniała tu dawniej. Ale w projekcie tego młodego człowieka kolumnada była trzy razy wyższa niż ta dawna! To niedopuszczalne. Taka zabudowa przytłoczyłaby inne obiekty, jak np. Wieżę Więzienną. Najlepszym rozwiązaniem byłoby podzielić tę pierzeję na małe działki i po kolei sprzedawać inwestorom. Tak, by powstała architektura zróżnicowana - przeciwieństwo jednego, monumentalnego bloku, a jednocześnie utrzymana w jednorodnym stylu, nawiązującym do przedwojennych, zbudowanych w XIX w. kamienic. Niektóre z nich były wyższe, inne niższe, ale razem tworzyły jeden zgrany szereg. Powrót do takiej zabudowy oddawałby ducha Gdańska - przed wojną ma samym Głównym Mieście było prawie dwa tysiące kamieniczek, a każda z nich miała innego właściciela. Zachodnia pierzeja Targu Węglowego wyglądała podobnie. A to skutkowało tak pożądaną w mieście różnorodnością. Przykładowo w 1942 r. rozkład usług wyglądał tu następująco: nr 1-2 - towary kolonialne, nr 3 - fryzjer, nr 6 - trykotaże, nr 7 - fotomaton, czyli automat do robienia zdjęć, nr 9 - kawiarnia Teatralna, nr 11 - sklep pod nazwą Dom Muzyki i Radia, nr 17 - sklep z bronią i artykułami sportowymi, nr 18-19 - znów fryzjer, nr 25 - delikatesy i kolejny fryzjer...

A skoro o nawiązaniach do historii mowa, postulowałby też odbudowę hotelu Danziger Hof w oryginalnym, zewnętrznym kształcie.

**Dlaczego to takie ważne?**

- Skoro obok zachował się bank z tej samej epoki, z drugiej strony powinien pojawić się obiekt stylistycznie mu odpowiadający. Wtedy między nimi znalazłby się nasz klejnot - Brama Wyżynna.

Jeżeli byłaby w ten sposób z obu stron oflankowana, oko przechodnia automatycznie kierowałoby się na środek, czyli na Bramę.

Poza tym w hotelu tym działy się rzeczy ważne dla naszej historii. To w nim w grudniu 1918 r. zatrzymał się Ignacy Paderewski, który do Gdańska przyjechał nie jako pianista, a jako człowiek z ważną misją. Spotkał się tu z Polonią Gdańską, by postulować powrót naszego miasta do Polski, co wtedy wcale nie było takie oczywiste. Tu Polonia Gdańska wypożyczała salę na swoje zebrania, przedstawienia teatralne i inne imprezy. Także tu w okresie międzywojennym swoją siedzibę miała polsko-brytyjska spółka wspierająca polski handel i rzemiosło w Wolnym Mieście Gdańsku. A przy tym wszystkim Danziger Hof to była dobra architektura, dzieło cenionego projektanta Karola Gause.

**Ale teraz już się tak nie buduje.**

- Owszem. Nie zapominajmy jednak, że dobre rekonstrukcje odtwarzają oryginalny miejski krajobraz. To dla nich przyjeżdżają turyści, nie dla wieżowców.

**Odbudowa zachodniej pierzei to przyszłość. Co teraz powinno znaleźć się na Targu Węglowym?**

- Może być wszystko - byle kulturalnie: koncerty, spotkania, okolicznościowy handel w ładnych kioskach, zielony skwer, bary, restauracje... Ale - podkreślam - kulturalnie. Hałas generowany przez odbywające się tu do tej pory koncerty jest groźny nie tylko dla naszych uszu, ale i dla zabytków. Zwłaszcza niskie, basowe częstotliwości są niebezpieczne. Jeśli regularnie się powtarzają, mogą prowadzić do szkód i pękań zabytkowych budowli. W takiej przestrzeni zasięg słyszalności powinien być taki jak zasięg widzialności.

## Januszajtis: Nowe Emaus i gospoda Pod Młynem

Andrzej Januszajtis
10.09.2011

Fotografowałem ten bez mała dwustuletni zespół dwa razy - w 2006 i 2009 r. Za pierwszym razem oblepiony reklamami był młyn, za drugim - gospoda. Zasłaniania zabytków billboardami nie uważam za właściwe, ale miałem nadzieję, że właściciel zbiera w ten sposób pieniądze na remont.

Upewniłem się w tej nadziei jeszcze bardziej, gdy spod reklam wyłonił się pięknie odnowiony ryglowy budynek młyna. Niedawna wieść o rozebraniu gospody spadła jak grom z jasnego nieba i rozwiała moje złudzenia. Zabytki i owiewająca je atmosfera są duszą miasta. Ich niszczenie to tak jak odbieranie człowiekowi duszy, uśmiercanie psychiki i niweczenie tożsamości. Na coś takiego może się zdobyć tylko ktoś całkowicie pozbawiony wrażliwości na piękno. A jeżeli jest prawdą, że władze konserwatorskie nie reagowały na sygnały, to jest to dla nich dyskwalifikujące - niestety nie pierwszy raz. Dość wspomnieć choćby błędne warunki konserwatorskie zeszłorocznego konkursu na północną część Spichlerzy: sprzeczne z historią lokalizacje dawnego spichlerza "Król Dawid" i przerwy w zabudowie, wyolbrzymione maksymalne wysokości i zalecanie tzw. "rekompozycji" w formach współczesnych, zamiast rekonstrukcji jedynych w swoim rodzaju zabytków architektury portowej. Zaprawdę, z urzędową ochroną dziedzictwa jest dzisiaj w Gdańsku bardzo źle! Inny przykład, niewątpliwie mniejszej wagi, lecz znamienny, to tabliczki z nazwami spichlerzy przy ul. Chmielnej 59-62, umieszczone na niewłaściwych spichlerzach! W rezultacie spichlerz nr 59, na którym od strony Motławy zachował się kamienny kartusz z 1755 r. z polskim napisem "Pod Koroną", ma od ulicy tabliczkę z nazwą "Gdańsk"! Powtórzmy: prawidłowa kolejność tabliczek to "Pod Koroną" (Chmielna nr 59, w widoku od ulicy pierwszy z prawej), "Toruń" (nr 60), "Elbląg" (nr 61) i "Gdańsk" (nr 62 - pierwszy z lewej). Zwracałem na to uwagę wielokrotnie, także na tych łamach - w październiku 2008 r. Tabliczki nadal wiszą na nie swoich miejscach i przekazują nieprawdziwe informacje. Czy władze konserwatorskie, których ustawowym obowiązkiem jest ochrona dziedzictwa, tego nie widzą? Przewieszenie czterech tabliczek zajęłoby pracownikowi z drabiną i śrubokrętem nie więcej niż pół godziny.

Wróćmy do gdańskiego Emaus, którego nowotestamentową nazwę znajdujemy po raz pierwszy na mapie z 1711 r. W 1789 r. obok Starego Emaus było już także Nowe Emaus, z młynem i gospodą na dzisiejszym miejscu, u zbiegu drogi do Kartuz (dzisiejsza ulica Kartuska) i do Trzech Lip (ul. Nowolipie). Obok wyrosły zabudowania. W 1875 r. w Emaus, wraz z Krzyżownikami i Nowolipiem mieszkało 1150 osób. W księgach adresowych zespół młyński pojawia się dopiero po włączeniu rejonu do miasta w 1933 r. Przy młynie od lat funkcjonowała piekarnia, w nowszych czasach określana jako "Fabryka Chleba" (Brotfabrik). Stara gospoda zapewne od początku nosiła nazwę "Pod Młynem" (Zur Mühle). Powojenne rejestry konserwatorskie nazywają ją "domem mieszkalnym", prasa "domem młynarza", co nie odpowiada jej historycznej funkcji. Właścicielem młyna był przed wojną inż. Ernst Schmidt, gospody - Otto Drews. Jest rzeczą niewyobrażalną, żeby ten pełen uroku klasycystyczny obiekt nie został odbudowany w dawnym kształcie! Emaus musi odzyskać ważną część swojej historycznej tożsamości.

## Januszajtis: Boże Narodzenie na Żuławach

Andrzej Januszajtis

18.12.2010

Jest wiele opisów dawnych zwyczajów świątecznych w Gdańsku i na Kaszubach. Znacznie mniej znane są obyczaje żuławskie.

Szczupłą garść informacji możemy znaleźć między innymi w wydanej w 1956 roku w Niemczech pracy Hansa Bernharda Meyera "Das Danziger Volksleben" (Życie gdańskiego ludu). Autor wykorzystał w niej wyniki ankiet przeprowadzonych w latach 1935-1939 na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Nie jest to materiał kompletny: wiele notatek zaginęło w czasie zawieruchy wojennej. To, co zdołano uratować, daje ciekawy obraz starych zwyczajów ludowych w okolicach Gdańska, w tym także na Żuławach.

Zacznijmy od Adwentu i przypisywanych temu okresowi wieńców z czterema świecami, zapalanymi w kolejne niedziele, w każdą o jedną świecę więcej. Okazuje się, że zwyczaj ten nie był stary - rozpowszechnił się dopiero w okresie międzywojennym. Na Żuławach od wieków popularne były natomiast małe choinki ze świeczkami, która zapalano wszystkie naraz, żeby były równo wypalone. - Bo to tak nieporządnie, kiedy są różnej wysokości - tłumaczono. W każdą niedzielę Adwentu rodziny zbierały się wieczorem przy stole, chrupały orzechy i zajadały się toruńskimi piernikami i pieczonymi jabłkami. Śpiewano przy tym pieśni adwentowe.

Inną niespodzianką jest informacja, dotycząca normalnych (dużych) choinek. Jak wiadomo, Gdańsk poznał choinki w końcu XVII wieku. Świadczy o tym wydany w 1698 roku poemat tutejszego nauczyciela Achacego Filliborna "Święte Drzewko Chrystusowe", zachęcający do kontynuowania obecnego tutaj, choć nowego, zwyczaju stawiania choinek i zawieszania na ich gałęziach łakoci, przeznaczonych dla dzieci. Rozpowszechnienie choinek przebiegało jednak wolno i nawet sto lat później częste były drewniane piramidki oplecione gałązkami iglaków. To, co zaskakuje, to kontynuowanie tego zwyczaju w znacznie późniejszych czasach. Jak się okazuje, jeszcze w latach 70. XIX wieku można było spotkać świąteczne piramidki. Tam, gdzie była choinka, zawieszano na niej woskowe świeczki, przygotowane rodzinnie papierowe łańcuchy, pozłacane orzechy i jabłka, oraz różne słodycze. Modne dzisiaj szklane bombki pojawiły się dopiero przed I wojną. Figury do szopki pod drzewkiem nieraz wycinano z brukwi (!).

Powszechnym zwyczajem, począwszy od drugiej niedzieli Adwentu, zwanej miedzianą, było znane i dzisiaj chodzenie z szopką. Z reguły brała w tym udział młodzież, w niektórych wsiach, np. w Leszkowach - także dorośli. Chodzący z szopką śpiewali kolędy i wypraszali sobie dary lub poczęstunek. W ogóle okres Bożego Narodzenia, tak jak i dziś wiązał się z obdarowywaniem najbliższych. Zróżnicowany był jednak czas, w którym się to czyniło. Obok typowego i dziś wieczoru wigilijnego, obdarowywano się w pierwszy dzień Świąt. Tak było np. w Koszwałach, Stanisławowie, Rokitnicy, Krzywym Kole, Suchym Dębie, Kmiecinie i Żuławkach. Możliwe, że ten termin w odległej

przeszłości przeważał. Oto, jak się to odbywało: "W wigilię posyłano dzieci do łóżek wcześniej niż zwykle. Kiedy spali, rodzice przygotowywali stół świąteczny, przy czym dla każdego, dużego i małego, szykowano talerz z prezentami. Znajdowały się na nim np. jabłka, orzechy, łakocie wszelkiego rodzaju, pończochy i inne wełniane rzeczy, zabawki i wiele innych. Dzieci biedniejszych ludzi, skoro się obudziły, jeszcze w porze świtu, zabierały sobie te talerze, bo często nie miały choinki (Suchy Dąb, Rokitnica). Natomiast tam gdzie była, tam ją oczywiście w tej wczesnej godzinie zapalano - dzieci naturalnie nie dawało się zatrzymać w łóżkach -maluchy recytowały wierszyki i następowało ogólne rozdawanie prezentów" (H. B. Meyer). W niektórych wsiach, np. w Steblewie, urządzano wigilię w szkole. Każde dziecko dostawało "kolorowy talerz" z podarunkami, mającymi charakter praktyczny. Były to czapki, szaliki, rękawiczki, pończochy, sweterki itp. Zapalano choinkę i śpiewano kolędy. W czasie Świąt dzieci obchodziły gospodarzy i dziękowały im za dary, także kolędami.

Nieco mniej wiemy o jedzeniu. Na Żuławach raczej nie było zwyczajowej uczty wigilijnej. Typowe ówczesne potrawy świąteczne, to pieczona gęś, peklowany schab itp., do tego grube kluski z suszonymi śliwkami i oczywiście mnóstwo słodyczy - kruche ciasteczka, babka, także piaskowa, toruńskie katarzynki, krajanka piernikowa, marcepan i inne smakołyki, w większości przygotowywane w domu. Trzeba to przyznać: świąteczne jadłospisy dzisiejszych Żuławiaków w niczym tym dawnym nie ustępują. Nie wchodząc w szczegóły, można ich podzielić, w zależności od pochodzenia z Kresów czy z centralnej Polski, na jedzących kutię albo kluski z makiem. Jednym i drugim życzę smacznego i oczywiście Wesołych Świąt, wypełnionych dawnymi i nowymi zwyczajami, a przede wszystkim - serdecznością.

## Januszajtis o hełmie, który zachwyca od 1651 r.

Andrzej Januszajtis
21.05.2011

"Ten hełm jest najsubtelniejszym wykwitem owego późnego, pełnego zawijasów, przechodzącego już w barok renesansu i cudem, jedynym w swoim rodzaju" - tak pisano o Ratuszu Głównego Miasta w Gdańsku.

Dalej czytamy: "Wydaje się jakby styl baroku próbował tu współzawodniczyć z pnącą się w górę lotnością gotyku, tak lekko, elegancko i ozdobnie w zwężeniu, tak różnorodnie i bogato w zarysie wznosi się ten hełm w powietrze.

Nie ma tu zresztą mowy o ścisłym geometrycznym formalizmie, organicznym wyrastaniu gotyckiej piramidy; ale o tyle bardziej godna uwagi i dalece górująca malowniczością nad gotykiem, także znacznie wyżej wzniesiona swoją kunsztowną kompozycją i bogactwem pomysłów, jest ta cudowna gra najpiękniejszych przemian prostych, zakrzywionych i esowatych form, które, same w sobie obce radosnemu dążeniu wzwyż, w genialny sposób do takiego właśnie działania wykorzystano.

Cały hełm jest pozłocony i zwieńczony również pozłoconą figurą w zbroi, tak że w jasnym blasku słońca efekt staje się jeszcze świetniejszy, prawie eteryczny, znikają bowiem stałe kształty i linie i pozostaje tylko jakiś niematerialny twór - przejrzysty, fantastyczny i baśniowo zwiewny. Cztery narożne wieżyczki i liczne łuczki oporowe, filarki, szpice i kule wzmacniają to wrażenie jak można najpiękniej poprzez całkowite wyzwolenie konturów korpusu. W tym działaniu trudno znaleźć w Niemczech, a nawet Europie, tak skończone arcydzieło".

Tak pięknie, wręcz poetycko pisali o naszym Ratuszu Głównego Miasta profesorowie Wilhelm Lübke i Albrecht Haupt, dalecy na co dzień od poetycznych zachwytów autorzy poważnych podręczników historii architektury.

I my dzisiaj podzielamy ich oczarowanie. Gdyby trzeba było spośród wielu wspaniałych zabytków Gdańska wybrać jeden jedyny, to byłby nim Ratusz - w głównej mierze ze względu na ten niezwykły hełm.

Gdańsk (Fot. Damian Kramski / AG)

I niech nikt nam nie wmawia, że zbudowanie go w tym kształcie w 1561 r. wzbudziło takie same opory, jakie dziś budzą ekstrawaganckie pomysły niektórych (nie wszystkich!) współczesnych architektów. Oporów nie było, bo ten hełm od początku zachwycał pięknem i cudownymi proporcjami. Od gotyku różnił się detalami i zdobnictwem, ale nigdy nie szokował, bo nie ma w nim agresji. Przy całym bogactwie szczegółów zachowuje umiar i nie rozsadza otoczenia skalą, czego o wielu dzisiejszych budowlach nie da się powiedzieć.

Wojna przyniosła mu zniszczenie. Drewniana konstrukcja, strącona do wewnątrz wieży i zapalona, wytworzyła taki żar, że cegły pokryły się czarnym szkliwem. Odbudowę utrudniało przechylenie wieży w stronę ulicy Długiej i spękanie murów, grożących zawaleniem. Ręce powojennych budowniczych Gdańska dokonały cudu. W szpary wlano zaprawę cementową, dodatkowe wzmocnienie zapewniły wbudowane w wieżę betonowe schody.

Na koniec, w 1952 r., odtworzono hełm i figurę króla Zygmunta Augusta, wykorzystując jej pozbierane z gruzów fragmenty. Konstrukcję ze stali, lżejszą niż poprzednia drewniana, oszalowano drewnem i obito miedzianą blachą, którą ozdobiły, jak dawniej, pozłacane liście akantu. Niestety trzeba się było spieszyć na przyjazd jakiegoś dygnitarza, możliwe też, że zabrakło złota i w rezultacie do dziś brakuje tych złocistych liści na największej "kopułce" hełmu. Obecny remont jest szansą na uzupełnienie tego braku. Nie wyobrażam sobie, żeby tego zaniechano. Jakie te "akanty" były piękne, można zobaczyć na starym zdjęciu. Nie widać

na nim wprawdzie największej glorietty, ale efekt był ten sam. Niech wrócą na swoje miejsce i znowu zalśnią w słońcu!

A skąd ten pomysł ze złotymi liśćmi na ratuszowej wieży? I dlaczego właśnie akant? Encyklopedie podają dwa znaczenia tego słowa: 1. Śródziemnomorska bylina (rodzaj ostu) o dużych głęboko wyciętych liściach i 2. Motyw dekoracyjny w formie stylizowanych liści tej rośliny, stosowany w architekturze, sztuce i rzemiośle artystycznym. Zdobiono nim budowle i dzieła sztuki już w starożytności. W sztuce chrześcijańskiej akant symbolizuje nieśmiertelność i władzę. W przypadku naszego Ratusza chodziło raczej o tę drugą. Chociaż czy tylko o nią? Czy odbudowa miasta w dawnym kształcie nie jest dążeniem do nieśmiertelności?

## Januszajtis o herbach z Bramy Straganiarskiej

Andrzej Januszajtis
20.03.2010

Wśród dawnych dziewięciu (dziś ośmiu) bram wodnych nabrzeży Długiego i Rybackiego trzy zdradzają tak duże podobieństwo, że można je uznać za jedną rodzinę, mimo że nie powstały w jednym czasie.

"Dwunasta brama nazywa się Straganiarska, bowiem ulica również tak się nazywa. Wychodzi na pomost nad Motławą, tam gdzie ten znów bierze początek w stronę Targu Rybnego. Zamykana jest również wieczorem wraz z uderzeniem dzwonu bramnego, i przez noc jest zamknięta, a rano wraz z dzwonem bramnym otwierana. Jest również obłożona gospodami dla obcych. W środku Targu Rybnego wiedzie wąski przesmyk na nabrzeże Rybackie, także na noc zamykany." (B. Ranisch, 1709).

Wśród dawnych dziewięciu (dziś ośmiu) bram wodnych nabrzeży Długiego i Rybackiego trzy zdradzają tak duże podobieństwo, że można je uznać za jedną rodzinę, mimo że nie powstały w jednym czasie. Są to bramy Chlebnicka, Mariacka i Straganiarska. Pierwsza jest niewątpliwie najstarsza, zdobiący ją herb Gdańska nie ma jeszcze korony, co świadczy, że pochodzi - wraz z bramą - sprzed roku 1457, w którym Kazimierz Jagiellończyk "ukoronował" gdańskie krzyże. Brama Mariacka musiała powstać w roku 1484 r., w którym zaczyna się pojawiać w rejestrach czynszu gruntowego. Daty budowy Bramy Straganiarskiej przekazał kronikarz Weinreich, który pod rokiem 1482 zanotował: "Tedy tej wiosny zaczęto budować Bramę Rybacką [tak ją wtedy nazywano], a w rok później była gotowa". Budowę ukończono więc w 1483 r. i nic dziwnego, że na zdobiących bramę herbach gdańskie krzyże są już pod koroną - podobnie jak na o rok młodszej bramie Mariackiej. Jest to zresztą najstarsze przedstawienie wzbogaconego herbu Gdańska, jakie się zachowało na budowlach miasta. Oto, co pisałem o tych herbach w książce "Koroną herb twój ozdobiono": "Na fasadzie od strony Motławy nad przejazdem wmurowano kamienną płytę z wyrzeźbionymi trzema tarczami. Środkowa, największa, przedstawia Orła Białego w koronie, dodatkową szeroką koroną ozdobiono wierzch tarczy. Na lewo od herbu Polski umieszczono herb Prus Królewskich (Polskich) - czarnego orła z koroną na szyi i wzniesionym mieczem. Herb Gdańska na prawo - ma krzyże o wąskich ramionach rozszerzających się łukami do lekko wgiętych krawędzi. Stykająca się z górnym krzyżem korona jest szeroka i niska, heraldycznie zamknięta: z wygiętej do wewnątrz wąskiej obręczy wyrasta aż dziewięć płatków (kwiatonów) w kształcie koniczynek. Białe niegdyś krzyże są dzisiaj ciemne - możliwe, że je kiedyś przemalowano. Podobne herby znajdowały się od wewnątrz bramy (od strony ul. Straganiarskiej) - dzisiaj jest tam tylko pusta wnęka."

Miło mi poinformować Państwa, że ostatnie zdanie może wkrótce stracić aktualność. Pracownicy odnawiający kościół świętego Jana odnaleźli płytę kamienną z herbem Gdańska, najprawdopodobniej pochodzącą z Bramy Straganiarskiej. Jest uszkodzona, ma odłamany prawy dolny róg, ale wymiary pasują do owej "pustej" wnęki. Ściśle mówiąc, płyta jest trochę mniejsza, ale pamiętajmy, że odbudowując bramę, zachowano autentyczne herby od strony Motławy, podczas gdy od wewnątrz rozmiary wnęki przyjęto trochę na oko. Prosta tarcza, półkoliście zamknięta u dołu, zdradza ślady czerwieni, z którą wyraźnie kontrastują szaroniebieskie (niegdyś srebrne) krzyże i złota korona. Kształt krzyży jest bardzo podobny do tych od strony Motławy. Pięciopłatkowa korona jest podobnie jak tam zamknięta, a jej dolna krawędź prawie styka się z krzyżami, między którymi również praktycznie nie ma odstępu. Płatki mają piękne, bogate kształty. Tarczę trzymają zarysowane lekką ręką lwy, które również zachowały ślady złocenia. Każdy z nich jedną łapę położył z góry na tarczy, drugą w połowie boku, z groźnych paszcz sterczą długie języki. Wszystko wskazuje na to, że płyta powstała razem z bramą lub niedługo potem - może równocześnie z wyobrażeniem herbu miasta na bramie Mariackiej (od wewnątrz)? Powrót odnowionej tarczy na swoje miejsce będzie wielkim świętem dla wszystkich miłośników Gdańska. Oby nastąpiło to jak najszybciej!

## Januszajtis: O pewnej trójjęzycznej kolędzie

Andrzej Januszajtis
24.12.2009

Były to lata 70. Wielkie triumfy międzynarodowe święcił wówczas Chór Akademii Medycznej, kierowany przez Ireneusza Łukaszewskiego. W okresie świąt Bożego Narodzenia zespół występował z kolędami, przede wszystkim polskimi, w stale wzbogacanym repertuarze. Na jednym z koncertów przypomniano kolędę o niezwykle ciekawej, nie całkiem wyjaśnionej historii.

Określono ją jako kolędę kaszubską, ale wykonano w literackiej polszczyźnie. Pierwsze zwrotki miały następującą postać:

"Witaj Jezuniu! Witaj kochanie,
O pożądany od wieków Panie:
Z Kaszub w szopie stajemy, pokłon Tobie dajemy,
Przed Tobą czołem bijemy społem.
Gdybyś w Kaszubach był narodzony,
Nie na sianeczku byłbyś złożony!
Dałbym Ci sienniczek i pod Cię pierzniczek,
Parę poduszek, piernat jak puszek.
Odziewę miałbyś nie lada jaką.
Z siwym barankiem czapkę bogatą:
Sukienkę z modrego sukna kaszubskiego.
A pas choć z siebie dałbym dla Ciebie."

Kolejne spotkanie z tekstem tej kolędy było zaskakujące: w przeznaczonej dla szkół naszego regionu książce "Westpreussen in Wort und Bild" (Prusy Zachodnie w słowie i obrazie), wydanej w 1915 r., na str. 584 znajdujemy jej wersję niemiecką. Liczy 11 zwrotek. Druga zwrotka brzmi następująco:

"Wärst in Kaschubien Du uns geboren,
Wärst auf Heu von uns nicht gebetet.
Hättest ein Strohsäckchen, darüber ein Bettchen
Und viele Kissen, gefüllt mit Daunen."

Jeszcze inną niemiecką wersję, liczącą osiem zwrotek opublikował w 1961 r. w Danziger Hauskalender p. Werner Bergengruen. Tutaj druga zwrotka jest pierwszą:

Wärst du, Kindchen, im Kaschubenlande,
Wärst du, Kindchen, doch bei uns geboren!
Sieh, du hättest nicht auf Heu gelegen,
Wärst auf Daunen weich gebettet worden."

Nie ulega wątpliwości, że to ta sama kolęda, tylko inaczej przetłumaczona. We wspomnianej książce z 1915 r. podano źródło: Nach Gulgowski (według Gulgowskiego). Pierwsza monografia Izydora Gulgowskiego "Von einem unbekannten Volke in Deutschland" (O pewnym nieznanym ludzie w Niemczech) wyszła w 1911 roku. Jeszcze wcześniejszym źródłem mogą być "Pastorałki i kolędy oraz piosenki wesołe ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia", w opracowaniu T. Miłkowskiego, wydane w Częstochowie w 1904 r. Tekst jest tu najpełniejszy (13 zwrotek). Do kompletu dodajmy jeszcze dwie zwrotki tekstu kaszubskiego, ściągnięte z internetu:

Witčj, Jezulu, witčj kochanie, opożądóny od wieków Panie. Z Kaszëb w szopie stojima, pokłón Tobie dajema. Przed Tobą czołem bijema społem.

Gdëbës w Kaszëbach bél narodzony, nie na saneczk bëłbës złożony. Dčłbëm Cë senniczek i spód se pierzineczek, pčra poduszek, piernčt jak puszek.

Czy to nie wspaniałe? Jedna kolęda, cztery wersje językowe! Zachęcam do szukania jeszcze starszych jej zapisów.

Życzę moim miłym Czytelnikom dobrego wypoczynku świątecznego przy wtórze kolęd, także kaszubskich, a w Nowym Roku zdrowia i spełnienia marzeń.

## Kazalnica Świętej Katarzyny

Andrzej Januszajtis
29.12.2004

Kościół Świętej Katarzyny na Starym Mieście jest najstarszy w Gdańsku. Tak przynajmniej chce tradycja. Badania archeologiczne wydają się to potwierdzać, ale jest ich zbyt mało, by mieć zupełną pewność. Odbudowa kościoła po straszliwych zniszczeniach w czasie ostatniej wojny nie jest jeszcze zakończona, ale to, co dotychczas zrobiono, graniczy z cudem. Ostatnio wrócił na swoje miejsce odnowiony baldachim kazalnicy.

Śródmieście Gdańska liczyło przed wojną 17 zabytkowych kościołów, wypełnionych dziełami sztuki. Z piętnastu najcenniejszych starych kazalnic przetrwało wojnę siedem. Najstarsza, częściowo gotycka (z 1541 r. - z dodatkami z XVII w.), zachowała się w kościele św. Trójcy. Druga co do wieku (z 1616 r.) znajduje się obecnie w kościele Mariackim, ale należy do kościoła św. Jana, którego piękne wyposażenie zachowało się prawie w całości. Trzecia jest kazalnica u św. Katarzyny. Powstała w latach 1637-1638, za czasów pastora Jana Mochingera. Zastąpiła starszą - renesansową, o której wiemy tylko tyle, że miała na szczycie pelikana. Nowa kazalnica kosztowała 3490 grzywien (marek) czyli mniej więcej tyle, co 150 ton żyta albo 93 kg srebra. Można powiedzieć, że złotousty kaznodzieja, zarazem profesor słynnego Gimnazjum Akademickiego, zadbał o efektowny warsztat pracy. I niewątpliwie to on wygłosił z niej pierwsze kazanie. Jego kazań słuchał m.in. Jan Heweliusz.

Przyjrzyjmy się bliżej wspaniałemu dziełu gdańskich mistrzów stolarskich, do których należała w tym kościele kaplica Trzech Króli (przy północnej nawie korpusu). Kazalnica składa się z kosza i baldachimu. Naroża kosza zdobią postacie Wiary, Nadziei, Miłości, Sprawiedliwości i Prawdy, we wnękach stały niegdyś figury Ewangelistów - obecnie zaginione. Na balustradzie schodków widnieją dalsze cnoty: Męstwo, Wstrzemięźliwość, Pobożność i Czystość, płaskorzeźby przedstawiają m.in. 12-

letniego Jezusa w Świątyni i Jezusa na jeziorze Genezareth. Portal wejścia zdobią kolumienki z postaciami Mojżesza i dwóch proroków, w polach między nimi przedstawieni są Chrystus jako Dobry Pasterz, św. Tomasz i św. Paweł, a nad portalem - św. Katarzyna z kołem i mieczem. O niderlandzkich wpływach świadczą ornamenty małżowinowe - sto lat przed epoką rokoka! Kiedy kilkanaście lat temu montowano w kościele kosz kazalnicy, wyglądał inaczej - nosił ślady przemalowania w 1826 r. Cały wystrój kościoła wymalowano wówczas w tonacji szarobrązowej i różowej! Po zbadaniu okazało się, że pierwotnie kazalnica miała naturalny kolor drewna z bogatymi złoceniami i tę piękną kolorystykę nasi konserwatorzy przywrócili.

Baldachim kazalnicy przetrwał wojnę w znacznie gorszym stanie niż kosz i jego renowacja trwała długo. Dzięki jej ukończeniu możemy dziś podziwiać dzieło w całej okazałości. Wprawdzie brakuje jeszcze wieńczącej dawniej baldachim figury anioła z puzonem i paru innych szczegółów, ale i tak można stwierdzić, że mamy do czynienia z arcydziełem. Przyzwyczailiśmy się, że wnętrza gdańskich kościołów wydają się puste w porównaniu z barokowym przepychem świątyń w głębi kraju. Każdy przywrócony element pokazuje, że to tylko efekt wojny i że warto zabiegać o powrót tych wszystkich dzieł, które ją przetrwały, a nie wróciły na swoje miejsce. Przywracając je, odtwarzamy niezwykłe piękno naszego miasta, płynące z właściwie użytego bogactwa, wysokiego poczucia estetyki i - przede wszystkim - głębokiego przywiązania do wiary ojców.

## Tego na pewno nie wiecie – Wielka Zbrojownia

Andrzej Januszajtis
09.12.2004

Przechodząc koło Wielkiej Zbrojowni, rzadko uświadamiamy sobie, jak wspaniały jest to zabytek. Jej architektura stanowi szczytowe osiągnięcie niderlandzkiego renesansu.

Wielka Zbrojownia była arsenałem miejskim. Powstała w latach 1600-1609. W piwnicach przechowywano amunicję, na parterze (w obecnym pasażu handlowym) stały armaty. Na pierwszym i drugim piętrze magazynowano lżejszą broń. Zwiedzający Zbrojownię w dawnych czasach podziwiali również napędzane mechanizmem zegarowym kukły. Był tam bóg Mars siedzący na tronie, który składał ukłon, muszkieterzy, którzy niespodziewanie palili z muszkietu, oraz konne posągi w starych zbrojach. Wszystko to zostało zmarnowane przez Francuzów, którzy w 1807 roku zamienili budynek na lazaret.

Projektantem tego arcydzieła był genialny Antoni van Obberghen. Wprawdzie co pewien czas próbuje się podważyć jego autorstwo, ale w ówczesnym Gdańsku nie było równego mu geniusza. Mistrz Antoni w niezrównany sposób wkomponował wielki gmach (40 na 50 metrów) w rytm wąskich fasad na sąsiednich ulicach, nadając szerokiej elewacji postać czterech połączonych kamieniczek od strony Targu Węglowego i uświetniając wspaniałymi, ale nie dominującymi nad otoczeniem elementami dekoracyjnymi od ulicy Piwnej. O mistrzostwie architekta możemy się przekonać, patrząc od strony Targu Węglowego. Każda kondygnacja fasady ma inny podział. Przyziemie dzieli się na trzy części, pierwsze piętro na dwie, a drugie na cztery. Osie symetrii drzwi i okien na poszczególnych kondygnacjach mijają się ze sobą, a mimo to całość sprawia wrażenie niezwykłej harmonii. Także pełna przepychu fasada wschodnia wykazuje podobne cechy. Tutaj uspokajają ją dwie piękne wieżyczki ze schodami oraz umieszczona centralnie studzienka, służąca niegdyś do wyciągania amunicji z piwnic.

Jak pisał niegdyś Bartłomiej Ranisch: "W dole przed fasadą stoi w środku okrągła studnia z kamiennymi kolumnami, kunsztownie wyciosana, przykryta kopułą. Nad tą kopułą, w środku stoi Pallas (bogini Atena), wyrzeźbiona z kamienia, wielkości człowieka. Cztery szczyty są wyłożone kamieniami i ozdobione figurami. Oprawa okien jest także z kamienia". Rzeźby, o których mowa, wykonał w latach 1605-1609 Abraham van den Block.

Niezwykłym szczegółem są - chyba jedyne w świecie - wąsate sfinksy (a sfinksy to oczywiście postacie kobiece). Oczywiście nie jest to wybryk XIX wieku, tylko oryginalna groteska.

Dodajmy do tego kolorystykę, w której przeważały czerwień, biel i złoto. Studzienka przypominająca małą świątynię stoi dzisiaj pusta. Brakuje krat zamykających otwory między kolumnami. Nie wszyscy wiedzą, że te oryginalne kraty znajdują się w Muzeum Narodowym w Gdańsku. Jest to dzieło metaloplastyczne wyjątkowej wartości. Nowość stanowią w niej płasko wykute blachy i groteskowo potraktowane głowy ludzkie o dwóch twarzach z wyrastającymi rogami, które przeniknęły w spiralnie zgięte pręty (T. Bieniecki). Motywy te zapoczątkowały nową modę wśród wykonawców gdańskich kratach.

Miejmy nadzieję, że trwający obecnie remont pozwoli przywrócić pięknej studzience jej bogate kraty.

## Ława Świętego Rajnolda

Andrzej Januszajtis
13.01.2005

Bywalcy Dworu Artusa należeli do bractw zwanych Ławami. Najstarszą z nich była założona w 1481 r. Ława Świętego Rajnolda. Kult tego na wpół legendarnego świętego przywędrował do nas z Zachodu. Rajnold był jednym z czterech synów hrabiego Hajmona - siostrzeńców Karola Wielkiego. Ojciec podarował mu rumaka Bajarda, tak wielkiego, że bracia mogli na nim jeździć we czwórkę. Zaproszony na turniej Rajnold wygrał wszystkie zawody. Zawistny syn królewski Karloman wyzwał jednego z braci do meczu szachowego, którego stawką miała być głowa przegranego... i przegrał. W gniewie uderzył przeciwnika szachownicą i odszedł. Widząc to Rajnold zabił Karlomana w obecności całego dworu. Bracia uciekli przed gniewem monarchy na dwór króla Maurów Safforeta, który ich przyjął na służbę. Gdy jednak po trzech latach odmówił wydania rodzinnych klejnotów, które mu dali na przechowanie, Rajnold zabił go i znowu musieli uciekać na grzbiecie Bajarda. Po wielu latach matka doprowadziła do pojednania z Karolem Wielkim, za cenę wydania Bajarda, którego król kazał utopić. Wstrząśnięty Rajnold wyrzekł się miecza i po krótkim pobycie w Ziemi Świętej wstąpił do klasztoru w Kolonii, gdzie cudownie uzdrawiał ludzi i zaangażował się w budowę katedry. Ponieważ pracował za półdarmo, zawistni koledzy skrytobójczo go zamordowali. Wrzucone do wody ciało wypłynęło, zaczęły się dziać nowe cuda. Gdy mieszkańcy Dortmundu przyjęli świętego Rajnolda za patrona, relikwie same do nich pojechały. Znajdują się tam do dziś.

W wielkiej sali Dworu Artusa bractwa miały wyznaczone miejsca, które urządzały na własny koszt. Do Ławy św. Rajnolda należał kąt północno-zachodni - na lewo od chóru muzycznego. Większość pięknego wystroju przetrwała wojnę i wróciła na dawne miejsce. Możemy tu jak dawniej podziwiać po mistrzowsku wyrzeźbione główki w kapitelach boazerii oraz malowidła. Ostatnio pojawiły się zadziwiająco dokładne fotograficzne "rekompozycje" tych, które zaginęły lub uległy zniszczeniu, m.in. "Walka Kuriacjuszów z Horacjuszami" Andrzeja Stecha. Do rajnoldowej legendy nawiązuje półokrągła "luneta", przedstawiająca Bajarda niosącego na grzbiecie czterech braci. W kącie obok okna, pod tarczą Sobieskiego, rzuca się w oczy postać młodego rycerza w fantazyjnej zbroi. Nie przywrócono mu dotąd miecza, przypiętego do lewego boku, ani głowy Safforeta na trzymanej w prawicy halabardzie, ale można go zidentyfikować po herbowym lwie na tarczy. To Rajnold - patron bractwa. Rzeźbę wykonał w 1533 r. Adrian Karfycz (być może pochodzący z Karwi). Na razie brakuje też jeszcze cyklu scen z życia świętego (we fryzie nad oparciami ław). Rycerskie aspiracje braci Dworu Artusa wyrażają fragmenty zbroi turniejowych na ścianie u góry. Wisiały tu cztery zbroje; te, których brak, zabrano po wojnie do muzeów warszawskich i krakowskich. Ich właściwe miejsce jest w Gdańsku, podobnie jak w przypadku również wywiezionego do Warszawy wspaniałego ołtarza utrzymywanej niegdyś przez bractwo kaplicy św. Rajnolda w kościele Mariackim.

## Tego na pewno nie wiecie - Największy ceglany kościół

Andrzej Januszajtis
20.10.2004

Mówi się często, że kościół Mariacki należy do największych kościołów w Europie. Ale na którym jest miejscu? To zależy, jakie kryterium szeregowania przyjmiemy. Najprostsze rozwiązanie to porównać

powierzchnię rzutu. Kiedy zrobiłem takie zestawienie, stwierdziłem, że w Europie jest co najmniej 38 kościołów większych od naszego.

Największy to oczywiście kościół św. Piotra w Rzymie. Na drugim miejscu, co będzie być może niespodzianką, jest katedra w hiszpańskiej Kordobie. Trzecią pozycję zajmuje katedra w Mediolanie, czwartą w Sewilli. Większe od kościoła Mariackiego są katedry francuskie, m.in. w Chartres, Amiens i Paryżu oraz angielskie w Londynie i Yorku. W Niemczech kościół Mariacki wyprzedza katedra w Kolonii, a w Belgii katedra w Antwerpii. Ogółem, Hiszpania i Anglia mają po dziesięć kościołów większych od naszego, Francja - siedem, Włochy - sześć, a Niemcy - trzy. Jednak wszystkie te kościoły są zbudowane z kamienia, a gdański Mariacki z cegły. Jest to zatem największy ceglany kościół w Europie.

Przypomnijmy, ma 104 metry długości (to wymiary zewnętrzne), 41 metrów szerokości w korpusie i 66 w transepcie. Wieża wznosi się na 78 metrów, a na budowę zużyto tyle cegieł, że gdańskie cegielnie (m.in. na Suchaninie) nie nastarczały z produkcją i trzeba było je dodatkowo zamawiać w Grudziądzu oraz innych miejscach. Wspominana tutaj powierzchnia rzutu wynosi 4,9 tys. mkw., czyli prawie pół hektara. Przy odbudowie po zniszczeniach ostatniej wojny trzeba było położyć 0,8 hektara dachówek i wstawić 0,2 hektara szyb. Licząc po cztery osoby na metr kwadratowy, po odjęciu filarów i grubości murów, do kościoła mogłoby się wcisnąć 18 tysięcy wiernych. W kościele stało kiedyś 47 ołtarzy, a pracujących tu jednocześnie księży było 128.

Wypada jeszcze zestawić gdański kościół Mariacki z europejską czołówką. I tak, kościół św. Piotra ma powierzchnię 21 290 mkw., a katedra w Kordobie 15 730 mkw. Gdyby doliczyć do tego wewnętrzny dziedziniec, prześcignęłaby rzymską świątynię wynikiem 23 600 mkw.

Zebrał z internetu - ze strony Gazety Wyborczej
I zestawił dla użytku przez
Uczestników Kursu przewodnickiego po Trójmieście
PTTK O/Gdańsk – Andrzej Tersa